

**Opowiadania od Ameryki do Rosji:
wybrane dzieła wybitnych pisarzy
przełomu XIX i XX wieku**

Opowiadania od Ameryki do Rosji: wybrane dzieła wybitnych pisarzy przełomu XIX i XX wieku

Redakcja naukowa
Kristina Vorontsova

Laboratorium Literatury IKR[i]BL
Siedlce 2021

Redakcja naukowa
Dr Kristina Vorontsova
Wydział Nauk Humanistycznych UPH w Siedlcach

Recenzja
Dr hab. Danuta Szymonik

Redakcja techniczna / skład i łamanie
Maria Długolecka-Pietrzak

Korekta
Luiza Karaban

Projekt okładki
Zespół

Ilustracje w książce
Pixabay

ISBN 978-83-66597-05-1

Wydawca
Laboratorium Literatury IKR[i]BL
Instytut Kultury Regionalnej i Badań Literackich
Im. Franciszka Karpińskiego. Stowarzyszenie
Ul. Targowa 7/6
08-110 Siedlce
www.ikribl.com

SPIS TREŚCI

Przedmowa	7
-----------------	---

USA

<i>Słynna skacząca żaba Hrabstwa Calaveras</i> , Mark Twain tłum. z angielskiego Marta Kun	11
---	----

IRLANDIA

<i>Słowik i róża</i> , Oscar Wilde tłum. z angielskiego Adrianna Parapura	23
--	----

<i>Słowik i róża</i> , Oscar Wilde tłum. z angielskiego Julia Skulska	33
--	----

<i>Eveline</i> , James Joyce tłum. z angielskiego Kristina Vorontsova	43
--	----

ROSJA

<i>Radość</i> , Antoni Czechow tłum. z rosyjskiego Marlena Kalicka	55
---	----

<i>Kot</i> , Antoni Czechow tłum. z rosyjskiego Sylwia Sabak	61
---	----

<i>O kobietach</i> Antoni Czechow tłum. z rosyjskiego Anna Kamińska	67
--	----

<i>Bezbronna istota</i> , Antoni Czechow tłum. z rosyjskiego Olga Wadas	73
--	----

<i>Powietrzny statek</i> , Aleksandr Grin tłum. z rosyjskiego Kamila Głuchowska	83
--	----

Moskiewskie sceny, Michaił Bułhakow
tłum. z rosyjskiego Aleksandra Michalska 93

Pan Śmiech, Aleksandr Bielajew
tłum. z rosyjskiego Natalia Bogdalska 105

PRZEDMOWA

Mam zaszczyt przedstawić czytelnikom tom, który stanowi wynik pracy studentek pierwszego roku studiów magisterskich (filologia polska) na Uniwersytecie Przyrodniczo-Humanistycznym w Siedlcach (specjalność – *translatoryka i kreacja tekstu*), jak również wyrazić moje zadowolenie jako mentorki.

Szczerze powiedziawszy, praca ta była czasami niełatwa, wymagająca, ale zdecydowanie bardzo owocna i zakończyła się pomyślnie. Dla większości studentek było to pierwsze doświadczenie z przekładem literackim i mam nadzieję, że nie ostatnie. Borykałyśmy się z ciekawymi problemami warsztatu tłumaczeniowego, kwestią różnic systemów językowych, transformacjami translatologicznymi, brakiem pełnego zrozumienia głosu autorskiego, jednak mimo wszystko uważam, że kluczem do sukcesu była i jest odpowiednia interpretacja literaturoznawcza tekstu oryginalnego. W tej kwestii grupa bez wątpienia spisała się „na medal”. Przywołując słowa słynnego polskiego mistrza przekładu literackiego Stanisława Barańczaka, można stwierdzić, że jesteśmy „ocalone w tłumaczeniu” i zaczarowane magią „współpracy” z artystami poprzednich epok.

Ciekawostką naszego laboratorium jest bez wątpienia wielojęzyczność: w zależności od poziomu językowego i gustu osobistego, studentki mogły wybrać opowiadanie albo w języku angielskim, albo w języku rosyjskim. W tym wyborze towarzyszyła im wolność twórcza, dlatego niniejszy tom jest tak różnorodny pod względem nazwisk i krajów pochodzenia autorów. Są to więc: Oscar Wilde, James Joyce i Marka Twain, a ponadto Anton Czechow, Michaił Bułhakow, Aleksander Grin, Aleksander Bielajew. Trzeba przyznać, że to niezwykle towarzystwo!

Można powiedzieć, że czytelnik ma tu do czynienia z mapą świata widzianą przez kalejdoskop tłumaczenia. Wraz z nią może udać się w podróż po Ameryce Północnej, Irlandii i Rosji, spotykając się ze znakami kultur Zachodu i Wschodu oraz po prostu czytając ciekawe historie z przełomu XIX i XX wieku. Koncepcja książki, pozostająca w związku z geopoetyką, pomaga zrozumieć granice formy wypowiedzi narracyjnej, którą jest opowiadanie. Badacze od lat twierdzą, że kulturę przeżywamy przez geografę. Przekład literacki pewnie też.

W tomie zawartych zostało 11 przekładów o różnej metodzie twórczej i treści: humorystycznej, fantastycznej, realistycznej itp. Każdy zdecydowanie znajdzie coś dla siebie.

Zapraszam do lektury!

Kristina Vorontsova

USA



Mark Twain
Słynna skacząca żaba Hrabstwa Calaveras
tłum. z angielskiego Marta Kun

Przyznaję, że w roli tłumacza nie czuję się do końca dobrze. Nie tylko z powodu braku doskonałej znajomości języka obcego, ale również dlatego, że jako studentka dopiero zaczynam swoją naukową przygodę z obcojęzycznym tekstem. To moje pierwszorazowe zetknięcie się z literaturą obszaru anglojęzycznego.

Doświadczenie jak dla mnie fenomenalne, lecz zarazem bardzo skomplikowane. Wychodzę z założenia, że żeby dobrze wykonać „cokolwiek”, należy choć trochę się na tym znać i mieć biegłość. Tu mam swój debiut, zatem czuję potrzebę wyrażenia prośby o wyrozumiałość, ponieważ to odpowiedzialne zadanie dla początkującego tłumacza. Jestem jednocześnie zaszczyconą, gdyż dostałam szansę dokonania przekładu literackiego *The Celebrated Jumping Frog of Calaveras County*¹ wyjątkowego artysty Marka Twaina.

Jeśli chodzi o samo opowiadanie... Na pewno dość ciekawy tekst, lecz niejednokrotnie balansujący na pograniczu niezrozumienia i ogromnej tajemniczości, nieprzewidywalności. Bohater jest trochę śmieszny, nieco niedoświadczony, dziwny, posługuje się gwarą. W moim odczuciu wstęp, rozwinięcie i zakończenie są zupełnie różne. Spowodowane jest to przede wszystkim tym, iż tak naprawdę nigdy nie wiemy do końca co autor mógł mieć na myśli, amerykańskimi akcentami, sposo-

¹ Mark Twain, *The Celebrated Jumping Frog of Calaveras County*, http://pdf-objects.com/files/The_Celebrated_Jumping_Frog.pdf (29.06. 2020).

bem mówienia, wyjątkowo długimi i wielokrotnie złożonymi zdaniami. Poeta posługuje się starą mową („old use”) czyli dialektami. Zawarł tu wiele wypowiedzi typowo gwarowych. Wszystko to moje spekulacje oraz poszlaki słowników, z których korzystałam.

Nie ukrywam, iż poświęciłam na tłumaczenie ogrom czasu, starałam się odszukać szczegóły, zrozumieć sens, o czym są opowiadania. Zachowałam strukturę interpunkcyjną, zgodnie z zasadami języka, na który tłumaczyłam opowiadanie oraz – co najważniejsze – starałam się blisko trzymać litery tekstu.

Tłumaczenie było konsultowane z innymi początkującymi tłumaczkami, za co dziękuję, bo sprawdza się powiedzenie – „co trzy głowy to nie jedna”. Sama mogłam coś przeoczyć, lub niechcący zniszczyć ideę tekstu oryginalnego, mogłam źle dobrać zasób słów. Oczywiście nad wszystkim czuwała od samego początku do końca nasza mentorka Kristina Vorontsova, której pomoc okazała się nieoceniona. Zarówno jeśli chodzi o sens, jak i to, by nie „urazić” ani oryginalnego tekstu, ani jego autora, na czym tak bardzo zależało mi gdy rozpoczynałam przygodę z opowiadaniem *The Celebrated Jumping Frog of Calaveras County*. Zachęcam także Państwa do zapoznania się z opowiadaniem w wersji oryginalnej.

Marta Kun

MARK TWAIN
SŁYNNNA SKACZĄCA ŻABA
HRABSTWA CALAVERAS

Mark Twain
The Celebrated Jumping Frog of Calaveras County

Zgodnie z prośbą mojego przyjaciela, który napisał do mnie ze Wschodnich Stanów, kontaktowałem i odwiedziłem wspaniałego, starego Simona Whellera o pięknej duszy, i zapytałem o przyjaciela mojego przyjaciela – Leonidasa W. Smileya, i ja tu dołączam (zgodnie z prośbą do wykonania) rezultat tego. Podejrzewam, że Leonidas jest mitem; że mój przyjaciel nigdy nie znał takiej postaci; i że on tylko przypuszczał, iż gdybym spytał o niego, starego Wheelera, przypominałoby mu to jego niesławnego Jima Smileya, on zacząłby wtedy wspominać i zanudzać mnie prawie na śmierć piekielnym wspomnieniem o nim tak długo i w nudy sposób, że byłoby by to dla mnie bezużyteczne. Gdyby taki był plan, to na pewno by mu się udało.

Zastałem Simona Wheelera usadowionego wygodnie przy piecu barowym w starej, zniszczonej gospodzie, w starym obozie górniczym Angel's i zauważyłem, że był gruby i łysy oraz miał wyraz wygrywającej łagodności i prostoty na jego spokojnej twarzy. Wstał i przywitał mnie. Powiedziałem mu, że mój przyjaciel zlecił mi kilka pytań o cenionego towarzysza z jego dzieciństwa, nazywanego Leonidasem W. Smileyem (a właściwie ksiądz Leonidas W. Smiley), młody pastor. Mój przyjaciel słyszał, że był kiedyś mieszkańcem obozu Angel's. Dodałem, iż gdyby pan Wheeler mógł mi coś powiedzieć o tym księdzu Leonidasie W. Smileyu, czułbym się zobowiązany.

Simon Wheeler zatrzymał mnie w kącie i zablokował tam swoim krzesłem, a następnie usiadł i recytował mi monotonną narrację, która następuje po tym akapicie. Nigdy się nie uśmiechał, nigdy nie zmarszczył, nigdy nie zmienił głosu z delikatnie płynącego, do którego dopasował początkowe zdanie. Nigdy nie zdradził najmniejszego podejrzenia o entuzjazm, ale cała ta niekończąca się narracja przebiegała w imponującej uczciwości i szczerości, co pokazało mi wprost, że tak dalece od wyobrażenia sobie, iż w jego opowieści jest coś śmiesznego lub zabawnego, uważał ją za naprawdę ważną sprawę i podziwiał jej dwóch bohaterów jako ludzi przekraczających granice finezyjnego umysłu.

Dla mnie spektakl człowieka, który spokojnie dryfuje po takiej dziwnej opowieści nie uśmiechając się nigdy, był wykwintnym absurdem. Jak już wcześniej wspomniałem, poprosiłem go, aby powiedział mi, co wie o Księdzu Leonidasie W. Smileyu, a on odpowiedział to, co możecie przeczytać niżej. Pozwoliłem mu podążać dalej na swój własny sposób i ani razu mu nie przerwałem.

Był tu kiedyś jakiś facet o nazwisku Jim Smiley, zimą 1849, a może wiosną 1850, nie pamiętam dokładnie, chociaż to co sprawia, że myślę iż to było jedno lub drugie, to dlatego, że pamiętam dużą rynnę, która nie była skończona, gdy pierwszy raz przyszedł do obozu. W każdym razie, był najciekawszym człowiekiem, o jakim się dowiedziałem, zawsze stawiając zakład o każdą rzecz, która się pojawiła, jaką kiedykolwiek zobaczysz, czy uda mu się zdobyć kompana do obstawiania po drugiej stronie, a gdyby nie mógł, zmieniłby strony. Każdy sposób, który pasowałby do tego drugiego człowieka pasowałby do niego – założył się, że był zadowolony. Ale i tak miał szczęście, niezwykle szczęście i zawsze wychodził na zwycięzcę. Zawsze był gotowy i poświęcał się dla szansy. Nie może być żadnej pocieszającej

rzeczy, ale ten facet zaoferowałby, że postawi na nią i będzie po twojej stronie, jak ci mówiłem. Gdyby były wyścigi konne, znalazłbyś go splukanego albo zostałby przyłapany na końcu. Gdyby była walka psów, postawiłby na to. Gdyby była walka kotów, postawiłby na to. Gdyby była walka kogutów, postawiłby na nią. Dlaczego? Założyłby się z tobą, który z dwóch ptaków siedzących na płocie, odleciałby pierwszy, albo gdyby doszło do spotkania modlitewnego w obozie, byłby tam, żeby postawić zakład na Pastora Walkera, o którym sądził, że był najlepszym adwokatem kaznodzieją, a takim był i był dobrą osobą. Gdyby nawet zobaczył idącego w jakimś kierunku robaka, założyłby się z tobą, ile czasu zajmie mu dotarcie tam dokąd zmierza, a gdy podjąłbyś drugą stronę, on śledziłby robaka do Meksyku, żeby dowiedzieć o jego przeznaczeniu i jak długo był na drodze. Wielu chłopców tutaj widziało tego Smiley'a i może ci o nim opowiedzieć. Dlaczego? Nigdy nie robiło mu to żadnej różnicy – stawiał na wszystko – na najgroźniejszego faceta. Żona Proboszcza Walkera raz na jakiś czas była bardzo chora i wydawało się, że nie da się jej uratować. Pewnego ranka wszedł Smiley i zapytał jak się czuje, powiedział Walker, że znacznie lepiej dziękując Panu za Jego miłosierdzie i przychodząc tak mądrze, że z błogosławieństwem Opatrzności, ona jeszcze wyzdrowieje. Smiley, zanim pomyślał, rzekł: „Cóż, zaryzykuję dwie i pół, że ona i tak tego nie zrobi.”

Ten Smiley miał klacz. Chłopcy nazwali ją piętnastominutową szkapą, ale tylko żartobliwie, wiesz? Oczywiście ona była szybsza niż to, a on wygrywał pieniądze na tym koniu, chociaż on był tak wolny i zawsze miał astmę, albo nosówkę, albo suchotę, albo coś w tym rodzaju. Dawali mu dwieście czy trzysta jardów na start, a potem wyprzedzali go w drodze, ale zawsze na samym końcu wyścigu wzbudzał podekscytowanie i rozpacz,

brykanie i wspinanie, wyrzucając nogi ponad przednie kończyny, czasami w powietrzu, a czasem na zewnątrz między płotami i wznosząc w-i-e-c-e-j pyłu oraz robiąc w-i-e-c-e-j hałasu wraz z kaszlem i kichaniem oraz dmuchając nosem, a zawsze docierał do trybuny prawie o szyję wcześniej lub tak blisko tego, jak to możliwe.

A miał małego byczego szczeniaczka, którego wygląd robił wrażenie, że nie był wart ani centa, ale rozglądał się dookoła i wyglądał ozdobnie. Szukał okazji, żeby coś ukrąść, ale kiedy pieniądze zależały od niego, był już innym psem, a jego dolna szczęka wystawała jak dziób parowca.

Jego zęby byłyby odsłonięte i lśniły dziko jak rozpalone piece. A pies może się z nim zmierzyć, tyranizować go i ugryźć i rzucić go na ramię dwa lub trzy razy. Andrew Jackson – imię szczeniaka – Andrew Jackson nigdy nie dałby za wygraną, ale udawał zadowolonego i nie spodziewał się niczego innego, a zakłady były cały czas podwajane i podwajane po drugiej stronie, aż do momentu, gdy pieniądze się skończyły. Nagle łąpał staw tylną nogi drugiego psa i ścisnął, nie żuł, ty rozumiesz, ale tylko chwycił i przytrzymał się dopóki drugi nie poddał się, nawet gdy trwało to rok. Smiley zawsze wychodził zwycięsko z powodu szczeniaka, dopóki nie zaprzęgli psa, który nie miał tylnych nóg, ponieważ zostały odcięte przez piłę tarczową, a kiedy rzecz poszła wystarczająco daleko, a pieniądze się skończyły i przyszedłby chwycić swojego zwierzaka, za chwilę zobaczył jak został narzucony oraz jak ten drugi pies miał go w drzwiach, że tak powiem. Zerknął surowo, a potem wyglądał na nieco bardziej zniechęconego i nie próbował już wygrywać walki, więc poniosł klęskę. Patrzył na Smileya, tak jakby chciał wyrazić, że jego serce zostało złamane i że Jim był winny za danie mu przeciwnika, który nie miał żadnych tylnych nóg do ukąszenia, co było jego główną możliwością w walce, a potem pokuśtykał

kawałek, położył się i umarł. To był dobry szczeniak, to był Andrew Jackson, który zyskałby sobie sławę, gdyby żył, bo te sprawy były w nim i miał genialność – wiem o tym, bo nie miał okazji, by o tym mówić i nie ma powodu by pies walczył tak, jak mógłby w tych okolicznościach, gdyby nie miał talentu. Zawsze mi przykro, gdy myślę o jego ostatniej walce i jak się ona potoczyła.

Dobrze, ten Smiley miał szczury – zwierchników i koguty z kurczaka oraz koty i wszystkie takie rzeczy, aż nie mogłeś odpocząć i nie mogłeś nic dla niego zrobić, żeby postawić, ale on by ci dorównał. Pewnego dnia złapał żabę, zabrał ją do domu i powiedział, że chce ją wykształcić i dlatego nie robił nic przez trzy miesiące, tylko usiadł na swoim podwórku i nauczył żabę skakać. I założę się, że ona też się tego nauczyła. Dałby jej trochę ciosu w tył, a za chwilę zobaczył tę żabę wirującą w powietrzu jak naleśnik na patelni, zobaczył jak skręca, a może parę, jeśli ma dobry start i schodzi na płasko oraz dobrze, jak kot. Nauczył ją w praktyce polowania na muchy, zatem kiedy widziała muchę latającą, za każdym razem ją łapała. Smiley powiedział, że żaba potrzebuje edukacji, że może zrobić wszystko i ja mu wierzę. Dlaczego? Widziałem jak postawił Daniela Webstera tutaj na tej podłodze (Daniel Webster to imię żaby) i śpiewał, „Muchy, Daniel, muchy!” i szybciej od mrugnięcia skakała w górę i wyrывała muchę z tej ludy i znowu klapała na podłogę solidną, jak kałuża błota, i zaczynała drapać się w bok głową tylną nogą tak obojętnie, jak gdyby nie miała pojęcia, że nie zrobiłaby już nic więcej, co mogłaby zrobić jakakolwiek żaba. Nigdy nie widziałeś żaby tak skromnej i prostej jak on, chociaż była taka utalentowana. A kiedy przychodzi do sprawiedliwych i podwójnych skoków na martwym poziomie, może pokonać więcej ziemi na raz, bardziej niż jakiekolwiek zwierzę jego rasy, które kiedykolwiek widziałeś. Skakanie na

martwym poziomie było mocną stroną Daniela, rozumiesz. Jeśli chodzi o to, Smiley wyłożyłby na to pieniądze dopóki miałby cent. Smiley był potwornie dumny ze swojej żaby i nie bez przyczyny. Dla ludzi, którzy podróżowali i byli wszędzie – wszyscy mówili, że miała przewagę nad każdą inną żabą jakąkolwiek zobaczyli.

No cóż, Smiley trzymał bestię w małym pudełku z kratami, a czasami sprowadzał żabę do miasta i się zakładał. Pewnego dnia facet – nieznajomy w obozie – natknął się na niego ze swoją skrzynką i gada:

„Co to może być, że masz w pudełku?”

A Smiley odpowiada, tak jakby obojętnie sortując: „Może to być papuga albo może kanarek, może być, ale nie jest. To tylko żaba”.

I facet wziął ją, spojrzał ostrożnie, obrócił ją w tę i tamtą stronę i powiedział, „Hmm więc to jest to. Dobrze, do czego służy?”

„Cóż”, mówi Smiley, łatwo i niedbale: „Jest wystarczająco dobra do jednej rzeczy, moim zdaniem skacze lepiej od każdej żaby w Hrabstwie Calaveras”.

Facet znów wziął pudełko, patrzył na nie długo, szczegółowo, oddał je Smileyowi i powiedział bardzo dosadnie: „Cóż, nie widzę żadnych cech w tej żabie, która byłaby lepsza niż jakąkolwiek inna żaba”.

„Może nie,” mówi Smiley. „Może rozumiesz żaby, a może ich nie rozumiesz. Może miałeś doświadczenie i być może nie jesteś tylko amatorem. W każdym razie, mam swoją opinię i zaryzykuję czterdzieści dolarów, że uda jej się pokonać każdą żabę w Hrabstwie Calaveras”.

Facet pomyślał przez chwilę, potem rzekł trochę żałośnie: „Dobrze, jestem tutaj tylko obcym i nie mam żadnej żaby, ale gdybym miał żabę, założyłbym się z Tobą”.

A potem Smiley rzekł: „W porządku, w porządku, jak potrzywasz moje pudełko przez chwilę, to pójde po żabę.” Facet wziął pudełko, postawił swoje 40 dolarów razem z Smileyem, i usiadł, i czekał.

Tak siedząc dobrze się zastanawiał i myślał, a potem wyciągnął żabę, otworzył usta, wziął łyżeczkę do herbaty i nappełnił ją śrutami na przepiórki, nappełnił bestię całkiem blisko brody i postawił na podłodze. Smiley podszedł do bagna i długo paplał się w błocie, aż w końcu złapał żabę, przyniósł ją, podał temu facetowi i mówi:

„Teraz, jeśli jesteś gotowy to postaw ją obok Daniela, z jego przednimi łapami równo z Danielem, a ja dam sygnał”. Potem mówi: „Raz, dwa, trzy, skacz!”, a on i ten facet dotknęli żaby od tyłu i nowa żaba zeskoczyła, a Daniel starał się podnieść i wzruszył ramionami tak jak Francuz, ale to nie miało sensu, bo nie mógł się ruszyć. Został posadzony solidnie, jak kowadło i nie mógł się ruszyć, jak gdyby był zakotwiczony. Smiley był bardzo zaskoczony, był też zniesmaczony, ale oczywiście nie miał pojęcia o co chodzi.

Facet wziął pieniądze i zaczął uciekać, a kiedy wychodził przez drzwi szarpnął kciukiem przez ramiona w ten sposób na Daniela i mówi jeszcze raz, bardzo dosadnie: „Cóż, nie widzę żadnych cech które wskazywałyby, że ta żaba jest lepsza od innych żab”.

Smiley stał drapiąc się w głowę i długo patrzył w dół na Daniela, a w końcu powiedział: „Ciekawy jestem jakiego diabła ta żaba pozwoliła na porażkę. Ciekawie, co się z nią stało. Wygląda na jakoś opuchniętą”.

I złapał Daniela za szyję, podniósł bestię i powiedział: „Dlaczego? Niech mi piorun strzeli, jeśli on nie waży pięciu funtów!” i obrócił żabę do góry nogami, a ona beknęła dwie garście śruta. A potem zrozumiał, co się stało i wpadł w wściekłość.

Położył zabę na ziemi i pobiegł za facetem, ale nigdy go nie złapał. I...

[Tu Simon Wheeler usłyszał swoje imię wołane z frontowego podwórka. Wstał, by zobaczyć, o co chodzi.] I odwracając się do mnie, gdy się odsunął, powiedział: „Po prostu ustaw się tam, gdzie jesteś, i odpoczywaj spokojnie, zaraz wrócę”.

Ale, za twoim pozwoleniem, nie sądziłem, że kontynuacja historii przedsiębiorczego włóczęgi Jima Smileya będzie mogła dostarczyć mi wiele informacji na temat księdza Leonidasa W. Smileya.

Przy drzwiach spotkałem wracającego towarzyskiego Wheelera, który zapiął mi guzik i polecił:

„No cóż, ten Smiley miał wrzeszczącą jednooką krowę, która nie miała ogona tylko krótki kikut jak banan”.

„Oh! Powiesić Smileya i jego cierpiącą krowę!” Mamrotałem dobrodusznie, i życząc staremu dżentelmenowi miłego dnia – odszedłem.

IRLANDIA



Oscar Wilde
Słowik i róża
 tłum. z angielskiego Adrianna Parapura

*Słowik i róża*¹ jest to utwór Oscara Wilde, irlandzkiego pisarza, który tworzył pod koniec XIX wieku. Wybrałam to opowiadanie, ponieważ ujęła mnie jego tematyka. Opowiadanie pokazuje, jak wiele jest w stanie zrobić człowiek dla drugiej osoby, którą darzy wielkim uczuciem i chce zdobyć jej przychylność.

Tłumaczenie *Słowika i róży* było przyjemnym doświadczeniem, sprawiało mi ogromną radość. Moim celem była próba ujęcia, jak najbardziej dokładnie tego, co chciał przekazać autor. Czuję się usatysfakcjonowana efektem końcowym. Wydaje mi się, że mój cel został osiągnięty.

Największym problemem jakie napotkałam podczas pracy było przetłumaczenie niektórych wyrazów w sposób jak najbardziej zrozumiały dla czytelnika.

Adrianna Parapura

¹ Oscar Wilde, *The Nightingale and the Rose: Short Story*, Warszawa: Harper Collins 2014.

OSCAR WILDE

SŁOWIK I RÓŻA

Oscar Wilde
The Nightingale and the Rose

– Powiedziała, że będzie tańczyć ze mną, jeśli przyniosę jej czerwone róże – płakał młody Student. – Ale w całym moim ogrodzie nie ma ani jednej czerwonej róży.

Słowik usłyszał go z gniazda w dębie skalnym, wyrzwał przez liście i zastanawiał się.

– Nie ma ani jednej czerwonej róży w całym moim ogrodzie – płakał, a jego piękne oczy wypełniły się łzami. Ach, od takich małych rzeczy zależy moje szczęście! Przeczytałem wszystko, co napisali mędrcy, wszystkie sekrety filozofii są mi znane, ale z braku czerwonej róży moje życie jest nieszczęśliwe.

– W końcu spotkałem się z prawdziwym kochankiem – powiedział Słowik. Noc po nocy śpiewałem o nim, choć go nie znałem. Noc po nocy opowiadałem jego historię gwiazdom, i teraz go widzę. Jego włosy są ciemne jak hiacynt, a usta czerwone jak róża w jego pragnieniach, ale namiętność uczyniła jego twarz bladą jak kość słoniowa, a smutek przyłożył pieczęć na jego czole.

– Księżę wydaje bal jutro wieczorem – wyszeptał młody Student. Moja miłość też tam będzie. Jeśli przyniosę jej czerwoną różę, będzie tańczyć ze mną aż do świtu. Jeśli przyniosę jej czerwoną różę będę trzymał ją w ramionach, a ona oprze głowę na moim ramieniu, a jej dłoń będzie obejmować moją, ale nie ma ani jednej czerwonej róży w całym moim ogrodzie, więc

usiadę samotny, a ona mnie ominie. Nie zwróci na mnie uwagi, a wtedy moje serce zostanie złamane.

– Tutaj jest prawdziwy kochanek – powiedział Słowik. To o czym śpiewam, on przeżywa boleśnie – to co dla mnie jest radością, dla niego jest bólem. Z pewnością Miłość jest wspaniałą rzeczą. Jest cenniejsza niż szmaragdy i droższa niż piękne opale. Nie można jej kupić za perły i granaty, ani sprzedać na rynku. Nie można zakupić jej od kupców i wymienić na złoto.

– Muzycy będą siedzieć na swoim podwyższeniu – powiedział młody Student i będą grać na świeżo nastrojonych instrumentach, a moja miłość będzie tańczyć przy dźwięku harf i skrzypiec. Będzie tańczyć tak lekko, że jej stopy nie będą dotykać parkietu, a dworzanie w świetnych ubiorach będą tworzyć tłum wokół niej, ale ze mną nie zatańczy, ponieważ nie mam czerwonej róży żeby jej dać; rzucił się na trawę, ukrył twarz w dłoniach i płakał.

– Dlaczego on płacze? – zapytała mała, Zielona Jaszczurka, przebiegając obok niego z ogonem podniesionym do góry.

– Rzeczywiście, dlaczego? – powiedział Motyl, trzepocąc w promieniu słońca.

– Rzeczywiście, dlaczego? – szepnęła Stokrotka do swojego sąsiada, łagodnym, cichym głosem.

– Płacze z powodu czerwonej róży – powiedział Słowik.

– Z powodu czerwonej róży? – krzyknęli. – Jakie to śmieszne! Malutka Jaszczurka, z natury trochę cyniczna, zaśmiała się w głos, ale Słowik zrozumiał sekret smutku Studenta i usiadł w ciszy na dębie i myślał nad tajemnicą Miłości. Nagle rozpostarł swoje brązowe skrzydła do lotu i poszybował w powietrze. Jak cień przemierzył gaj i jak cień poszybował w stronę ogrodu.

Pośrodku trawiastej działki rósł przepiękny Krzew, a gdy Słowik go ujrzał, poleciał do niego i usiadł na jednej z gałązek.

– Daj mi czerwoną różę – poprosił. – W zamian zaśpię-
wam ci moją najśladszą piosenkę. Ale Krzew przecząco pokręcił
głową.

– Moje różę są białe – odpowiedział. – Tak białe jak pia-
na na morzu, bielsze niż śnieg na szczycie góry. Idź do mojego
brata, który rośnie wokół starego zegara słonecznego. Być może
da ci to czego chcesz. Na te słowa Słowik pofrunął do Krzewu,
który rośnie wokół starego zegara.

– Daj mi czerwoną różę – poprosił. – W zamian zaśpię-
wam ci moją najśladszą piosenkę. Ale Krzew przecząco pokręcił
głową.

– Moje różę są żółte – odpowiedział. – Tak żółte jak wło-
sy syrenki, która siedzi na bursztynowym tronie, żółtsze niż żon-
kil, który kwitnie na łące zanim kosiarka przyjedzie z kosą, ale
idź do mojego brata, który rośnie pod oknem Studenta. Być może
da ci to czego chcesz.

Więc Słowik pofrunął do Krzewu, który rośnie pod ok-
nem Studenta.

– Daj mi czerwoną różę – poprosił. – W zamian zaśpię-
wam ci moją najśladszą piosenkę.

Ale Krzew przecząco pokręcił głową.

– Moje różę są czerwone – odpowiedział. – Tak czerwone
jak nóżki gołębicy, czerwiejsze niż koralowce, które falują
i falują w otchłaniach oceanu, ale zima zmroziła moje żyły, mróz
przygryzł moje pąki, a burza połamała moje gałęzie i nie będę
miał róż w tym roku...

– Jedna czerwona róża to wszystko czego chcę – prosił
Słowik. – Tylko jedną czerwoną różę! Nie ma żadnej możliwości,
abym zdobył to czego pragnę?

– Jest jeden sposób – odpowiedział Krzew. – Ale jest tak straszny, że nie śmiem ci powiedzieć.

– Powiedz – prosił Słowik. – Nie boję się.

– Jeśli chcesz czerwoną różę – powiedział Krzew. – Musisz stworzyć ją z muzyki w świetle księżyca i splamić krwią własnego serca. Musisz mi zaśpiewać swoją piersią na kolcu. Całą noc musisz mi śpiewać, a kolec musi przebić twoje serce, a twojego życia krew musi wpłynąć do moich żył i stać się moja.

– Śmierć jest wysoką ceną do zapłaty za czerwoną różę – odpowiedział Słowik. – Życie jest bardzo drogie dla wszystkich. Miło jest usiąść w zielonym lesie i obserwować Słońce w jego rydwanie ze złota i Księżyc w jego rydwanie z pereł. Słodki jest zapach głogu, słodkie są dzwonki, które chowają się w dolinie i wrzos, który wieje na wzgórzu. Jednak Miłość jest lepsza niż Życie. Jakie jest serce ptaka w porównaniu z sercem człowieka? Więc rozpostarł swoje brązowe skrzydła do lotu i uniósł się w powietrze. Przemknął po ogrodzie jak cień i jak cień przeleciał przez gaj.

Młody Student ciągle leżał na trawie, gdzie go wcześniej zostawił, a łzy jeszcze nie obeschły w jego pięknych oczach.

– Bądź szczęśliwy – powiedział Słowik. Bądź szczęśliwy – będziesz miał swoją czerwoną różę. Stworzę ją z muzyki w świetle księżyca i poplamie krwią własnego serca. W zamian proszę was tylko o to, abyście byli prawdziwymi kochankami, bo Miłość jest mądrzejsza niż Filozofia, pomimo że ta jest tak mądra, i silniejsza od Potęgi, mimo, że ta jest tak silna. Płomienne są jej skrzydła i ciało barwy płomieni. Jej usta są słodkie jak miód, a oddech przypomina kadzidło.

Student podniósł wzrok z trawy i słuchał, ale nie mógł zrozumieć, co mówi mu Słowik, ponieważ znał tylko to, co zapisano w książkach, ale Dąb zrozumiał i poczuł smutek, ponieważ

bardzo lubił małego Słowika, który zbudował gniazdo na jego gałęziach.

– Zaśpiewaj mi ostatnią piosenkę – wyszeptał. – Poczuję się bardzo samotny, kiedy odejdiesz.

Słowik zaśpiewał do Dębu, a jego głos był jak dźwięk wody tryskającej ze srebrnego naczynia.

Kiedy skończył swoją piosenkę, Student wstał i wyjął z kieszeni zeszyt i ołówek.

– Ma formę – powiedział do siebie, gdy szedł przez gaj. – Tego mu nie można odmówić, ale czy ma również uczucia? Tego się obawiam. W rzeczywistości jest jak większość artystów. Jest stylowy, bez szczerości, nie poświęciłby się dla innych. Myśli wyłącznie o muzyce, a wszyscy wiedzą, że sztuka jest samolubna, a jednak trzeba przyznać, że ma w głosie piękne tony. Szkoda, że nic nie znaczą ani nie czynią żadnego praktycznego dobra. Poszedł do swojego pokoju, położył się na swoim wąskim tapczaniku i zaczął myśleć o swojej miłości, a po pewnym czasie zasnął, a gdy Księżyc zaświecił na niebie, Słowik poleciał do Krzewu i przyłożył pierś do ciernia. Całą noc śpiewał z piersią opartą o cierń, a zimny, kryształowy Księżyc pochylał się i słuchał przez całą noc jak śpiewał, a kolec wchodził coraz głębiej w jego piersi, a krew życiowa odpływała z niej.

Śpiewał o narodzinach miłości w sercu chłopca i dziewczynki, a na najwyższej gałęzce różanego Krzewu rozkwitła cudowna róża, płatek po płatku, tak jak pieśń następowała po pieśni. Na początku była biała jak mgła wisząca nad rzeką – biała jak stopy poranka i srebrna jak skrzydła świtu. Jak cień róży w srebrnym zwierciadle, jak cień róży w sadzawce, podobnie jak róża kwitnąca na najwyższej gałęzce różanego Krzewu, ale Krzew krzyczał do Słowika, by przytulić się do ciernia.

– Przytul się, mały Słowiku – zawołał Krzew. – Inaczej nadejdzie Dzień, zanim róża się rozwinie.

Więc Słowik przytulił się do ciernia, a jego piosenka narastała coraz głośniejsze, gdyż śpiewał o narodzinach namiętności w duszy mężczyzny i kobiety.

Delikatny kolor róży pojawił się na liściach róży, jak rumieniec na twarzy oblubieńca, gdy całuje usta oblubienicy, ale cień jeszcze nie dotarł do jego serca, więc serce róży pozostało białe, ponieważ tylko krew serca Słowika może zabarwić serce róży.

Krzew zawołał Słowika, by przytulił się do ciernia.

– Przytul się, mały Słowiku – zawołał Krzew. – Bo inaczej nadejdzie Dzień, zanim róża się rozwinie.

Więc Słowik przytulił się do ciernia, a cień dotknął jego serca i przeszył go silny ból. Gorzki był ból i co raz dziksze stawały jego pieśni, ponieważ śpiewał o Miłości ukoronowanej Śmiercią, o Miłości, sięgającej poza grób.

I cudowna róża stała się szkarłatna, jak róża wschodniego nieba. Szkarłatny był pas płatków, szkarłatny jak rubin serca.

Głos Słowika osłabł, a jego skrzydełka zaczęły trzepotać, a mgła przesłoniła mu oczy. Coraz słabiej brzmiał jego śpiew, czuł, jak coś dusi go w gardle.

Wtedy wydobył z siebie melodię najgłębszą. Księżyc to usłyszał, zapomniał o świetle i pozostał na niebie. Czerwona róża to usłyszała i zadrżała w ekstazie rozchylając płatki na chłodne poranne powietrze. Echo poniosło pieśń do purpurowej jaskini na wzgórzach i obudziło śpiących pasterzy ze snu. Popłynęło ponad trzciny nadbrzeżne, a te poniosły jej przesłanie do morza.

– Patrz, patrz! – zawołał Krzew. – Róża jest już gotowa!

Lecz Słowik nie odpowiedział, bo leżał martwy w wysokiej trawie z cierniem w sercu.

W południe Student otworzył okno i wyjrzał.

– Cóż za wspaniałe los! krzyknął – Oto czerwona róża! Nigdy w życiu nie widziałem takiej róży. Jest tak piękna, że musi mieć długą łacińską nazwę – pochylił się i zerwał ją.

Potem włożył kapelusz i podbiegł do domu Profesora z różą w ręku. Córką Profesora siedziała w drzwiach nawijając niebieski jedwab na szpulę, a jej piesek leżał u jej stóp.

– Powiedziałaś, że zatańczysz ze mną, gdybym przyniósł ci czerwoną różę – zawołał Student. – Oto najbardziej czerwona róża na całym świecie. Dziś wieczorem będziesz ją nosić przy sercu, a kiedy będziemy razem tańczyć, powie ci jak bardzo cię kocham.

Ale dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Obawiam się, że nie pasuje do mojej sukienki – odpowiedziała. – Poza tym siostrzeniec Chamberlaina przysłał mi prawdziwe klejnoty, a wszyscy wiedzą, że klejnoty kosztują znacznie więcej niż kwiaty.

– Cóż, na moje oko, jesteś bardzo niewdzięczna – powiedział gniewnie Student. – I wyrzucił różę na ulicę. Upadła na kratkę rynsztoku, gdzie ją zmiażdżyło koło przejeżdżającego wozu.

– Niewdzięczna! – powiedziała dziewczyna. – Jesteś bardzo niegrzeczny, a w końcu kim jesteś? Jesteś tylko Studentem. Nie sądzę, żebyś miał nawet srebrne sprzączki na swoich butach, jak siostrzeniec Chamberlaina.

Wstała z krzesła i weszła do domu.

– Jaką głupią rzeczą jest Miłość – powiedział Student, odchodząc. – Nie jest w połowie tak przydatna jak Logika, ponieważ niczego nie dowodzi i zawsze mówi jedną z rzeczy, która się nie wydarzy. Sprawia, że wierzy się w rzeczy, które nie są prawdą. W rzeczywistości jest to dość niepraktyczne, a ponieważ w tym wieku praktyczność jest wszystkim, wróć do Filozofii i postudiuję Metafizykę.

Wrócił więc do swojego pokoju, wyciągnął wielką zakurzoną książkę i zaczął czytać.

KONIEC

Oscar Wilde
Słowik i róża
tłum. z angielskiego Julia Skulska

Tłumaczenie opowiadania Oscara Wilda *The Nightingale and The Rose*¹ to moje pierwsze doświadczenie z przekładem tekstu literackiego z języka obcego na polski. Podeszłam do zadania z ciekawością, ale i z pewnymi obawami, które wraz z postępem pracy ustępowały przyjemności płynącej z pracy z tekstem.

Chciałabym wskazać na niektóre trudności, z którymi musiałam się zmierzyć. Pierwszą rzeczą jest język – rozbudowane zdania pełne metafor i porównań, które nie są powszechnie używane w języku polskim. Tłumaczenie często wymagało pewnych zmian, takich jak użycie synonimów, rozdzielenie części zdań lub połączenie ich w odmienny sposób niż miało to miejsce w przypadku oryginalnego tekstu. Największą zmianą, która wynika z różnic w języku polskim i angielskim to rodzaje rzeczownika słowik – w oryginale jest on rodzaju żeńskiego, w przekładzie polskim – męskiego (*ten* słowik – rodzaj męski, w angielskim oryginale *she*). Jak ta zmiana wpłynęła na odbiór tekstu? Według mnie, dzięki tej zmianie, uczucie Słowika zyskuje jeszcze głębszy wymiar. Uczucie jego jest czyste, duchowe. Można je porównać do miłości przyjacielskiej, pragnącej szczęścia drugiej osoby. Lecz to wciąż za mało, by opisać to czego uczy nas Słowik.

Opowiadanie *Słowik i róża* to piękna, metaforyczna opowieść o miłości. O uczuciu bezinteresownym, wzbudzającym zdolność do poświęceń, w obliczu którego nawet śmierć traci

¹ Oscar Wilde, *The Happy Prince and Other Tales*, London: David Nutt 1888, pp. 25–42.

na swej mocy. Wszyscy, a przynajmniej większość z nas, marzy by było dane nam zaznać takiego uczucia. Wszyscy, a przynajmniej większość z nas marzy, żeby było dane nam zaznać takiego uczucia. Lecz czy my sami potrafilibyśmy kochać tak jak mały Słowik? Mamy okazję, by zastanowić się nad tym, dzięki lekturze tego opowiadania.

Julia Skulska

OSCAR WILDE

SŁOWIK I RÓŻA

Oscar Wilde
The Nightingale and the Rose

„Powiedziała, że zatańczy ze mną, jeżeli podaruję jej czerwone róże,” wykrzyknął młody Uczeń; „ale w całym moim ogrodzie nie ma ani jednej czerwonej róży.” Usłyszał go Słowik ze swojego gniazda uwitego na dębie, spojrzał na niego zza liści i zamyślił się.

„Ani jednej czerwonej róży w całym moim ogrodzie!” zawołał, a jego piękne oczy wypełniły się łzami. „Och, szczęście zależy od tak małych rzeczy! Przeczytałem wszystko co uczeni ludzie napisali, znam wszystkie sekrety filozofii, a teraz jestem nieszczęśliwy z powodu jednej róży, której nie mogę mieć.” „Oto jest prawdziwie zakochany,” powiedział Słowik. „Noc za nocą śpiewałem o nim, chociaż nie znałem go; noc za nocą opowiadałem jego historię gwiazdom, a teraz stoi przede mną. Jego włosy są ciemne jak kwiat hiacyntu, a jego usta są tak czerwone jak róża, której tak pragnie; ale namiętność sprawiła, że jego twarz stała się blada jak kość słoniowa, a smutek odcisnął swoje piętno na jego czole. „Księżę jutrzejszej nocy wyprawia bal”, szepotał młody Uczeń, „a moja ukochana będzie wśród zaproszonych gości. Jeżeli podaruję jej czerwoną różę, będzie ze mną tańczyć aż do świtu. Jeśli tylko przyniosę jej czerwoną różę, będę mógł trzymać ją w swoich objęciach, jej głowa spocznie na moim ramieniu, a jej ręka będzie zaciśnięta w mojej. Ale w moim ogrodzie nie ma ani jednej czerwonej róży, więc będę siedzieć

samotnie, a ona przejdzie obok mnie, nie zwróciwszy na mnie uwagi. Moje serce zostanie złamane”.

„Oto, rzeczywiście, prawdziwie zakochany,” powiedział Słowik. „To, o czym ja tylko śpiewam, on przeżywa, co dla mnie jest radością, dla niego jest cierpieniem. Miłość jest wspaniałą rzeczą. Jest ona kosztowniejsza niż szmaragdy, i droższa niż czyste opale. Perły i granaty nie mogą jej kupić, a i tak nie jest wystawiona na sprzedaż. Nie można jej kupić, ani zważyć, żeby wymienić na złoto.” „Muzycy będą siedzieli na swoich balkonach,” powiedział młody Uczeń, „i będą grać na swoich strunowych instrumentach; a moja ukochana będzie tańczyć do dźwięków harfy i skrzypiec. Ona będzie tańczyć tak lekko, że jej stopy niemalże nie będą dotykać podłogi, a dworzanie w swoich zdobnych strojach będą gromadzić się wokół niej. Ale ze mną nie zatańczy, bo nie mam czerwonej róży, którą mógłbym jej podarować”; rzucił się na ziemię, zakrył twarz rękoma i zapłakał.

„Dlaczego on płacze?” zapytała mała Zielona Jaszczurka przebiegając obok niego z ogonem wysoko w powietrzu.

„On płacze przez czerwoną różę,” odpowiedział Słowik.

„Przez czerwoną różę!” wykrzyknęli wszyscy; „to absurdalne!” a mała Jaszczurka, która była trochę cyniczna, wprost się roześmiała.

Ale Słowik rozumiał sekret smutku Ucznia i siedział cichutko na swoim dębie, rozmyślając o tajemnicy Miłości.

Nagle rozpostarł swoje brązowe skrzydła do lotu i wzbił się w powietrze. Przeleciał przez gaj niczym cień i jak cień poszybował nad ogrodem.

Na środku łąki kwitł piękny Krzak Róży. Kiedy Słowik go zobaczył, podleciał do niego i usiadł na jednej z jego gałązek.

„Daj mi czerwoną różę,” rzekł, „a ja zaśpiewam Ci moją najśladszą piosenkę.” Ale Krzak Róży zakolysał głową.

„Moje róże są białe,” odpowiedział; „tak białe jak piana morska i bielsze niż śnieg pokrywający góry. Ale udaj się do mojego brata, który rośnie wokół starego, słonecznego zegara, a może on da Ci to czego potrzebujesz.”

Więc Słowik poleciał do Krzaka Róży, który rósł wokół starego, słonecznego zegara.

„Daj mi czerwoną różę,” wykrzyknął, „a ja zaśpiewam Ci moją najśladszą piosenkę.” Ale Krzak Róży zakolysał głową.

„Moje róże są żółte,” odpowiedział; „tak żółte jak włosy syreny, która siedzi na bursztynowym tronie i bardziej żółte niż żonkil, który kwitnie na łące przed tym jak kosiarz przyjdzie po niego ze swoją kosą. Ale idź do mojego brata, który rośnie pod oknem Ucznia, a może on da Ci to czego pragniesz.”

Więc Słowik poleciał do Krzaka Róży, który rósł pod oknem Ucznia.

„Daj mi czerwoną różę,” wykrzyknął, „a ja zaśpiewam Ci moją najśladszą piosenkę.” Ale Krzak Róży zakolysał głową.

„Moje róże są czerwone,” odpowiedział, „tak czerwone jak nóżki gołębia i bardziej czerwone od wielkich wachlarzy koralowców, które falują w jaskini oceanu. Ale zima zamroziła moje żyły, mróz uszkodził moje pączki, a burza złamała gałęzie i nie będę mógł mieć róż w tym roku.” „Jedna czerwona róża to wszystko, czego potrzebuję,” rzekł Słowik, „tylko jedna czerwona róża! Czy nie istnieje żaden sposób, dzięki któremu mógłbym ją zdobyć?” „Jest jeden sposób,” odpowiedział Krzak Róży; „lecz jest to sposób tak straszny, że nie śmiem Ci o nim powiedzieć.” „Zdradź mi go” powiedział Słowik, „nie boję się.” „Jeżeli chcesz dostać czerwoną różę,” powiedział Krzak, „musisz stworzyć ją z muzyki przy świetle księżyca i nadać jej barwę krwią własnego serca. Musisz dla mnie zaśpiewać zbliżywszy pierś do kolca. Musisz tak dla mnie śpiewać przez całą noc, a kolec powinien przebić Twoje serce, by Twoja krew mogła się wlać do moich żył

i stać się moją.” „Śmierć to olbrzymia cena, żeby zapłacić za jedną czerwoną różę,” wykrzyknął Słowik, „a Życie jest drogocenne dla każdego. Przyjemnie jest siedzieć w zielonym lesie i obserwować Słońce w jego złotym rydwanie, a później Księżyc w jego perłowym rydwanie. Słodko jest czuć zapach głogu i słodkie są niebieskie dzwoneczki, które chowają się w dolinie, a także wrzos, co kwitnie na wzgórzu. Jednak Miłość jest lepsza od Życia, a co znaczy serce ptaka w porównaniu z sercem człowieka?” Więc rozpostarł swoje brązowe skrzydła do lotu i wzbił się w powietrze. Przemknął ponad ogrodem jak cień i jak cień poszybował ponad gajem.

Młody Uczeń wciąż leżał na trawie, tam gdzie zostawił go Słowik i wciąż jeszcze były widoczne łzy w jego pięknych oczach.

„Bądź szczęśliwy”, zawołał Słowik, „bądź szczęśliwy; będziesz miał swoją czerwoną różę. Stworzę ją przy muzyce i świetle księżyca i zabarwię ją krwią z mojego własnego serca.

Jedyną rzeczą, o którą proszę Cię w zamian jest to, abys był prawdziwie zakochanym. Miłość jest mądrzejsza od Filozofii, bo Ona jest mądra i potężniejsza od Władzy, bo jest Ona potężna. Ognistoczerwone są jego skrzydła i zabarwione jak płomień w jego ciele. Jego usta są słodkie jak miód, a jego oddech jest jak kadzidło.” Uczeń spojrzał zza trawy i słuchał, ale nie mógł zrozumieć co Słowik mu mówił, bo on tylko wiedział o rzeczach, które są zapisane w książkach.

Ale Dąb rozumiał i czuł smutek, bo miał wiele współczucia dla małego Słowika, który zbudował swoje gniazdo w jego gałęziach.

„Zaśpiewaj mi ostatnią piosenkę,” wyszeptał; „Będę czuł się bardzo samotny kiedy odejdiesz.”

Więc Słowik zaśpiewał dla Dębu, a jego głos był jak bulgotanie wody w srebrnym słoiku.

Kiedy skończył swoją piosenkę młody Uczeń wstał i wyciągnął notes i ołówek ze swojej kieszeni.

„On ma formę,” powiedział do siebie, jak odchodził z gaju, „tego nie można mu odmówić; ale czy on ma uczucie? Obawiam się, że nie. Co prawda, jest on jak większość artystów; jest w całości stylem, bez żadnej wrażliwości. On nie poświęciłby siebie dla innych. Myśli tylko o muzyce, a każdy wie, że sztuka jest samolubna. Wciąż jednak – czego nie da się nie zauważyć – ma on piękne nuty w swoim głosie. Co za szkoda, że one nic nie znaczą, albo nie czynią żadnego praktycznego dobra”. Poszedł do swojego pokoju, położył się na swoim małym łóżku i zaczął myśleć o swojej miłości; po jakimś czasie zasnął.

A kiedy Księżyc zaświecił na niebie Słowik poleciał do Krzaka Róży i przyłożył swą pierś do ciernia. Przez całą noc śpiewał z jego piersią przy cierniu, a zimny, krystaliczny Księżyc słuchał. Całą noc śpiewał, a cierni wędrował głębiej i głębiej w jego pierś, a jego krew odpływała.

Śpiewał najpierw o narodzinach miłości w sercu chłopaka i dziewczyny. I na samej górnej gałęzi Krzaka Róży rozkwitła wspaniała Róża, pojawiał się płatek za płatkem wraz z piosenką. Najpierw była ona biała – biała jak pierwsze oznaki poranka i srebrzysta jak skrzydła zorzy. Jak niejasne odbicie róży w lustrze ze srebra, jak odzwierciedlenie Róży w wodzie, taka była Róża, która rozkwitła na najwyższym pędzie Krzaka Róży.

Lecz Krzak krzyczał Słowikowi, żeby ten przyciskał się jeszcze bliżej do kolca. „Przyciśnij się bliżej, malutki Słowiku,” krzyczał Krzak Róży, „albo nastanie Dzień zanim Róża będzie gotowa.”

Wtedy Słowik przycisnął się bliżej do kolca i co raz głośniejsza stawała się jego piosenka, ponieważ śpiewał o narodzinach namiętności w duszy mężczyzny i panienki.

I delikatny, różowy rumieniec pojawił się na płatkach róży, podobny do rumieńca na twarzy pana młodego, kiedy całuje usta swojej narzeczonej. Ale kolec wciąż jeszcze nie dosięgnął do serca Słowika, dlatego środek Róży pozostawał biały, ponieważ tylko krew z serca Słowika mogła zaczerwienić serce Róży.

I Krzak Róży zakrzyknął do Słowika, żeby przybliżył się jeszcze bliżej do kolca. „Przyciśnij się bliżej, malutki Słowiku,” krzyczał Krzak Róży, „albo Dzień przyjdzie zanim Róża będzie gotowa.”

Wtedy Słowik przycisnął się bliżej do kolca tak, że kolec dotknął jego serca, a nieznośny ból przeszył jego ciało. Męczący, jeszcze bardziej męczący był ból i głośniejsza stawała się piosenka, ponieważ śpiewał o Miłości, która stała się doskonała poprzez Śmierć, o Miłości, która nie kończy się w grobie.

I wspaniała Róża zrobiła się ciemno-czerwona, jak Róża wschodniego nieba. Ciemno-czerwony był pas płatków i ciemno-czerwone, jak rubin, było jego serce.

Lecz głos Słowika stawał się coraz słabszy i jego malutkie skrzydła zatrzepotały, a lekka mgielka zachmurzyła jego oczy. Coraz słabiej brzmiała jego piosenka i odczuł jak coś ścisła jego gardło.

I wtedy dał ostatni wybuch muzyki. Biały Księżyc usłyszał to i zapomniał o świetle i trwał nadal na niebie. Czerwona róża usłyszała to i zadrżała z rozkoszy, otworzyła swoje płatki na zimne poranne powietrze. Echo poniosło to do purpurowej grotty we wzgórzach i obudziło śpiących pasterzy z ich snów. To przepłynęło przez trzcinę z rzeki, która zaniósła wiadomość do morza.

„Popatrz, popatrz!” zawołał Krzak, „Róża jest gotowa teraz”; ale Słowik nie odpowiedział, ponieważ leżał martwy

w długiej trawie, z cierniem w sercu. A w południe Uczeń otworzył swoje okno i wyjrzał przez nie.

„Co za wspaniały łut szczęścia!” zawołał; „jest tu czerwona Róża! Nigdy w życiu nie widziałem takiej róży. Jest taka piękna, że jestem pewien, że ma długie, łacińskie imię”; pochylił się i zerwał ją.

Następnie włożył kapelusz i pobiegł do domu Profesora z różą w ręku.

Córka Profesora siedziała przed wejściem, wietrząc niebieski jedwab na drążku, a jej mały pies leżał u jej stóp.

„Powiedziałaś, że zatańczysz ze mną jeżeli podaruję Ci czerwoną różę,” zawołał Uczeń. „Oto jest najbardziej czerwona ze wszystkich róż na świecie. Będiesz ją trzymała dzisiejszej nocy przy sercu, a jak będziemy tańczyć ona powie Ci jak bardzo Cię Kocham.” Ale dziewczyna zmarszczyła brwi.

„Obawiam się, że nie będzie pasować do mojej sukienki,” odpowiedziała; „a poza tym, kuzyn Chamberlaina wysłał mi trochę prawdziwych klejnotów, a wszyscy wiedzą, że klejnoty kosztują dużo więcej niż kwiaty.” „Cóż, myślę, że jesteś bardzo niewdzięczna,” powiedział Uczeń wściekle; i wyrzucił różę na ulicę, gdzie wpadła do rynny, a koło zamachowe przejechało po niej.

„Niewdzięczna!” powiedziała dziewczyna. „Powiem Ci coś, jesteś bardzo nieuprzejmy; i, w ogóle, kim Ty jesteś? Tylko Uczniem. Nawet nie przypuszczam, że miałaś kiedykolwiek srebrne klamry do swoich butów tak jak kuzyn Chamberlaina”; wstała ze swojego krzesła i weszła do domu.

„Cóż to za śmieszna rzecz ta Miłość,” powiedział Uczeń jak odchodził. „Ona nie jest nawet w połowie tak użyteczna jak Logika, bo nie udowadnia niczego i zawsze opowiada komuś o rzeczach, które nigdy się nie wydarzą i sprawia, że ktoś wierzy w rzeczy, które nie są prawdą. Jest faktem, że jest dość nie-

praktyczna, tak więc, jeśli w obecnym wieku bycie praktycznym jest wszystkim, myślę, że powinienem wrócić do Filozofii i studiować Metafizykę.”

Więc wrócił do swojego pokoju, wyciągnął wielką, zakurzoną księgę i zaczął czytać.

KONIEC

James Joyce
Eveline
tłum. z angielskiego Kristina Vorontsova

*Eveline*¹ jest jedynym tłumaczeniem z całego tomu, w którym językiem docelowym był rosyjski, czyli mój język ojczysty. Przekład ten został wykonany jako studium przypadków na materiale, dzięki któremu chciałam pokazać studentom, że nawet najbardziej popularny tekst, przeanalizowany pod różnymi kątami przez literaturoznawców i tłumaczy zawodowych, może wciąż stanowić wyzwanie i wymagać współczesnych przekładów.

Przede wszystkim, chodzi mi o fragment: „coloured print of the promises made to Blessed Margaret Mary Alacoque”. Odbiorcy rosyjskojęzycznemu łatwiej pokazać, co to jest, niż próbować znaleźć odpowiednik zrozumiany przez czytelników, nie orientujących się w realiach katolickiej Irlandii.

Język angielski w porównaniu do języków słowiańskich jest językiem kontekstualnym, więc czasami trzeba dokładnie zastanowić się nad tym, co ten albo inny zwrot ma znaczyć w kontekście całego tekstu, sytuacji albo relacji pomiędzy bohaterami. Zdarzają się jednak przypadki, kiedy autor świadomie nie pokazuje całości i daje czytelnikom możliwość deszyfrowania sensu, prowokując ich do „współautorstwa”. Albo coś wydaje się autorowi na tyle oczywiste, że powoduje ogólny brak kontekstu. Uważam, że w takiej sytuacji można nawet zwrócić się z prośbą o pomoc do native speakerów. Tak, na przykład, wiele trudności sprawiło mi przetłumaczenie zdania „He told

¹ James Joyce, *Eveline*, in: *Dubliners*. London: Penguin Books, 1992, pp. 29–34.

her the names of the ships he had been on and the names of the different services”, gdzie istotny problem polegał na braku jakiegokolwiek wyjaśnienia wieloznacznego słowa „services”. Po konsultacjach z native speakerem udało się znaleźć rozwiązanie w miarę trafne.

Zdecydowałam się również na zachowanie całego szeregu przypisów dolnych dla wyjaśnienia pewnych aspektów, ogólnie znanych na początku XX wieku ludziom zakorzenionym w kulturze modernizmu i tzw. Gaelic revival. Niezbędny moim zdaniem przypis powinien towarzyszyć zdaniu w języku gaelickim, w tekście ono zostało zachowane w pisowni oryginalnej dla przekazania „klimatów kraju i epoki”.

Cała praca nad przekładem jednego z moich ulubionych opowiadań wielkiego mistrza modernizmu wywołało u mnie wyłącznie pozytywne emocje i inspiracje do dalszych eksperymentów.

Kristina Vorontsova

ДЖЕЙМС ДЖОЙС

ЭВЕЛИН

James Joyce
Eveline

Она сидела у окна, наблюдая, как вечер захватывает улицу. Она прислонялась головой к занавескам, ощущая тонкий аромат пыльного кретона. Она была утомлена.

Несколько людей прошли мимо. Прошёл мужчина, живущий в последнем доме; она слышала стук его шагов по бетонному тротуару, а после этого – хруст на шлаковой дорожке перед новыми красными домами. Когда-то там было поле, на котором они каждый вечер играли с чужими детьми. Затем человек из Белфаста выкупил поле и построил там дома – не такие, как их маленькие коричневые домики, а яркие кирпичные дома с сияющими крышами. Все дети с их улицы играли вместе на том поле – Дивайны, Уотерсы, Данны, крошка-калека Кью, она и её братья и сестры. Эрнест, однако, никогда не играл: он был слишком взрослый. Её отец часто гонялся за ними со своей терновой палкой наперевес; но крошка Кью обычно был на стрёме и кричал, когда видел его. Кажется, тогда они все-таки были счастливы. Её отец не был таким уж скверным в то время, а кроме того, её мать была ещё жива. Это было очень-очень давно; она и её братья и сестры выросли, а мать умерла. Тиззи Данн тоже умерла, а Уотерсы уехали назад в Англию. Все меняется. Теперь вот она собиралась уехать, как все остальные, покинуть родной дом.

Дом! Она оглядела комнату, просматривая все знакомые предметы, которые она вот уже столько лет раз в неделю протирала от пыли, удивляясь, откуда эта самая пыль берётся. Возможно, она никогда больше не увидит эти знакомые предметы, с которыми она никогда не мечтала расстаться. И ведь за все эти годы ей так и не удалось узнать имя священника, чья желтеющая фотография висела на стене над поломанной фисгармонией рядом с цветной репродукцией обетований, данных святой Маргариты-Марии Алакок. Он был школьным приятелем её отца. Показывая фотографию кому-либо из гостей, отец всегда добавлял привычное: «Он сейчас в Мельбурне».

Она согласилась уехать, покинуть родной дом. Было ли это мудрым решением? Она попыталась взвесить все за и против. Дома в любом случае у неё есть крыша над головой и кусок хлеба; у неё есть те, кого она знает всю свою жизнь. Конечно, она должна была тяжело трудиться: и дома, и на работе. Что о ней будут говорить в магазине, когда узнают, что она убежала с парнем? Наверное, скажут, что она дура, а на её место очень скоро найдут кого-нибудь по объявлению. Мисс Гэйван будет счастлива. Она всегда цеплялась к ней, особенно, когда вокруг были люди.

– Мисс Хилл, вы не видите, что эти дамы ждут?

– Мисс Хилл, давайте повеселее, будьте так добры.

Она определённо не станет плакать, покинув магазин.

Но в её новом доме, в далёкой неизвестной стране, все будет по-другому. Кроме того, она выйдет замуж – она, Эвелин. Люди начнут относиться к ней с уважением. С ней не будут обращаться так, как обращались с её матерью. Даже теперь, когда ей почти двадцать, она иногда побаивалась отцовской жестокости. Она была уверена, что именно от этого у неё и началось учащённое сердцебиение. Когда

они росли, он никогда не колотил её так, как Гарри или Эрнеста, потому что она была девочкой; но позже он начал запугивать её и говорить, что сделал бы с ней, если бы не уважение к покойной матери. А теперь у неё нет никого, кто защитил бы её. Эрнест умер, а Гарри, который занимался декорированием церквей, был вечно в разъездах по стране. Кроме того, неизменная субботняя склока из-за денег начала несказанно её утомлять. Она всегда отдавала все своё жалование – семь шиллингов, – а Гарри всегда присылал все, что мог, но проблема была получить потом хоть что-нибудь от отца. Он говорил, что она транжирит деньги, что у неё нет мозгов, что он не позволит швырять заработанное потом и кровью на ветер, и многое-многое другое, так как по субботам он был поистине невыносим. В конце концов он давал ей деньги и спрашивал, собирается ли она покупать что-нибудь для воскресного обеда. И тогда ей нужно было выметаться так быстро, как это было возможно, и делать покупки, крепко сжимая свой чёрный кожаный кошелек в руках, расталкивая людей в толпе локтями и возвращаться домой совсем поздно с грудой продуктов. Тяжело было следить за хозяйством и контролировать, чтобы двое младших детей, оставленных под её опеку, ходили в школу регулярно и так же регулярно питались. Это был тяжёлый труд – тяжёлая жизнь – но теперь, когда она собиралась покинуть все это, она не находила эту жизнь такой уж непривлекательной.

Она собиралась начать новую жизнь с Фрэнком. Фрэнк был очень добрый, мужественный, чистосердечный. Она должна была уехать с ним ночным пароходом, чтобы стать его женой и жить с ним в Буэнос-Айресе, где у него был дом, который ожидал её приезда. Как хорошо она помнила первый раз, когда его увидела; он снимал

жилье в доме на главной улице, куда она часто приходила в гости. Казалось, это было всего несколько недель назад. Он стоял в воротах, кепка съехала на затылок, и его волосы растрепались по загорелому лицу. Потом они познакомились. Он приходил каждый вечер встретить её у дверей магазина и проводить домой. Он пригласил её на «Цыганку»¹, и она была в восторге, сидя с ним в театре на неприлично хороших местах. Он ужасно любил музыку и немного пел. Люди знали, что они встречаются, и когда он пел о девушке, которая любит моряка, она всегда чувствовала себя приятно смущённой. Он прозвал её Маковкой ради шутки. Сначала она испытывала приятное волнение от того, что у неё появился парень, а затем уже он ей понравился по-настоящему. Он рассказывал о дальних странах. Он начинал как юнга за фунт в месяц на пароходах линии Аллен², ходящих в Канаду. Он называл ей имена кораблей, на которых служил, и названия разных компаний торгового флота. Он ходил Магеллановым проливом и рассказывал ей истории о ужасных патагонцах. Теперь же, по его словам, он бросил якорь в Буэнос-Айресе и приехал в старушку-Ирландию только на каникулы. Конечно, когда её отец узнал о романе, он запретил им видеться.

– Знаю я этих морячков! – сказал он.

Как-то раз он повздорил с Фрэнком, и после этого им пришлось встречаться тайно.

¹ «Цыганка» – The Bohemian Girl. Популярная романтическая опера (1883 г.), музыку для которой написан дублинский музыкант и композитор Майкл Уильям Балф (1808-1870).

² *Линия Аллен* – пассажирский пароходный маршрут, начинающийся в Ливерпуле и обслуживающий тихоокеанское побережье Северной Америки.

Вечер сгущался. Белые пятна двух писем, лежащих на коленях, становились все менее чёткими. Одно предназначалось Гарри, другое – её отцу. Эрнест был ее любимчиком, но Гарри ей тоже нравился. Отец в последнее время, как она заметила, постарел; он будет скучать по ней. Иногда он мог быть по-настоящему милым. Незадолго до этого, когда она пролежала целый день, он читал ей историю о привидениях и в камине поджарил для неё тосты. Как-то раз, когда их мать была ещё жива, они все отправились на пикник в Хаут-Хилл³. Она помнила, как отец натянул мамину шляпку, чтобы повеселить детей.

Её время истекало, но она продолжала сидеть, прислонившись головой к занавескам, вдыхая тонкий аромат пыльного кретона. С улицы она могла слышать далёкие звуки шарманки. Мелодию она узнала. Как странно, что это должно было случиться именно в этот вечер, чтобы напомнить ей о данном матери обещании, её обещании не оставлять дом как можно дольше. Ей вспомнилась последняя ночь, когда больная мать была ещё жива; и вот она вновь в тесной темной комнате по другую сторону передней, слышит доносящуюся снаружи меланхолическую песню Италии. Шарманщику велели убираться и дали шесть пенсов. Она вспомнила, как отец вернулся в комнату больной с самодовольным видом и сказал:

– Проклятые итальяшки! Понаехали!

Когда она представляла себе жалкое зрелище материной жизни, оно накладывало свой отпечаток на ее собственное недолгое существование, – зрелище жизни, полной привычных жертв и превратившейся в финале в безу-

³ *Хаут-Хилл* – местечко к северо-востоку от Дублина с живописными утесами, популярное для прогулок и пикников.

мие. Она задрожала, как будто вновь услышав голос матери, повторяющий с глупой настойчивостью:

– *Derevaun Seraun! Derevaun Seraun!*⁴

Она вскочила в ужасе. Бежать! Она должна бежать! Фрэнк спасёт её. Он даст ей жизнь, возможно, также даст и любовь. Но она так хотела жить. Почему ей следует быть несчастной? У неё есть право на счастье. Фрэнк обнимет её, будет обнимать её крепко-крепко и не отпустит. Он спасёт её.

Она стояла среди покачивающейся толпы на пристани в Норт-Уолл⁵. Он держал её за руку, и она знала, что он что-то ей говорит, повторяет что-то о пароходе снова и снова. Пристань была заполнена солдатами с коричневыми вещмешками. Через широкие двери ангара она мельком увидела чёрную массу корабля, стоявшую с освещёнными иллюминаторами у самого края набережной. Она ничего не отвечала. Она почувствовала, как её щеки побледнели и похолодели, и из лабиринта страданий она помолилась Богу, чтобы он направил её, чтобы указал ей её долг. Корабль выдохнул длинный скорбный гудок в туман. Если она уедет, то уже завтра будет в открытом море с Фрэнком идти на всех парах к Буэнос-Айресу. Их каюта уже забронирована. Могла ли она все ещё отступить после всего, что он для неё сделал? От страданий её затошнило,

⁴ *Derevaun Seraun! Derevaun Seraun!* – искажённый гэльский. Разные исследователи творчества Джойса высказывают различные мнения о том, что это может значить: «Конец удовольствию – боль», «Конец песни – буйное помешательство», «Черви – неизбежный исход» и т.д.

⁵ *Норт-Уолл* – пристань на реке Лиффи, откуда каждый вечер отправлялся паром в Ливерпуль.

и она продолжила шевелить губами в безмолвной пылкой молитве.

Сигнал корабельного колокола отдался в её сердце. Она почувствовала, как он схватил её за руку:

– Идём!

Все моря мира обрушились ей на сердце. Он тянул её в эту стихию: он утопит её. Она схватилась обеими руками за железные перила.

– Идём!

Нет! Нет! Нет! Это было невозможно! Её руки в отчаянии сжимали железо. В пучину морей она послала крик страдания!

– Эвелин! Эви!

Он бросился за барьер и позвал её следовать за ним. На него ругнулись, чтобы он поторапливался, но он всё ещё звал её. Она обратила к нему побледневшее лицо, пассивная, как беспомощное животное. В её глазах не было никаких знаков любви, прощания или узнавания.

ROSJA



Antoni Czechow
Radość
tłum. z rosyjskiego Marlena Kalicka

*Radość*¹ to opowiadanie autorstwa Antona Czechowa, rosyjskiego pisarza tworzącego na przełomie XIX i XX wieku. Utwór ten ujął mnie przede wszystkim swoją zwięzłą formą, w której wbrew pozorom akcja jest dynamiczna i pełna humoru. W *Radości* mamy do czynienia z zasadą „minimum słów, maksimum treści”. Nie bez powodu zatem Czechow został nazywany mistrzem „małych form literackich”.

Z perspektywy czasu uważam, że proces tłumaczenia owego utworu był ciekawym i przyjemnym doświadczeniem. Za uwieńczenie mojej pracy nad przekładem uważam sposób, w jaki ujęłam Czechowski żart. Myślę, że osiągnęłam cel, jakim było precyzyjne ujęcie całokształtu przekazu *Radości*.

Podczas tłumaczenia tekstu pojawiły się również problematyczne kwestie związane przede wszystkim z dziewiętnastowiecznym nazewnictwem. Aby ułatwić i uprzyjemnić lekturę postanowiłam wyjaśnić kilka zwrotów, które w moim odczuciu mogłyby stanowić trudność w odbiorze całości.

Marlena Kalicka

¹ Антон Чехов, *Радость*, в: *Полное собрание сочинений и писем в 30-ти томах. Сочинения*, т. 2, Москва: Наука, 1975, с. 12–14.

ANTONI CZECHOW

RADOŚĆ

АНТОН Чехов *Радость*

Była dwunasta w nocy.

Mitya Kułdarow podekscytowany, rozczochrany wbiegł do mieszkania swoich rodziców i energicznie zaglądał do wszystkich pokoi. Rodzice położyli się już spać. Siostra leżała w łóżku i kończyła ostatnią stronę powieści. Bracia – gimnazjaliści – spali.

– Skąd tu się wzięłeś? – zdziwili się rodzice. – Co się z tobą dzieje?

– Och, nie pytajcie! Nigdy bym się tego nie spodziewał! To... to jest wręcz niewiarygodne!

Mitya roześmiał się i usiadł w fotelu, nie mogąc ze szczęścia utrzymać się na nogach.

– To niewiarygodne! To przechodzi wszelkie wyobrażenia! Spójrzcie tylko!

Siostra wyskoczyła z łóżka, zarzuciła na siebie koc i podeszła do brata. Młodszy braciśzkowie też się obudzili.

– Co się z tobą dzieje? Nie poznaję cię!

– To ja, mamusiu! To radość przeze mnie przemawia! Teraz jestem sławny na całą Rosję! Na całusińką! Przedtem tylko wy wiedzieliście, że na tym świecie istnieje registrator kolegiálny¹ Dmitrij Kułdarow. Dziś już cała Rosja o tym wie! Mamusiu! O Boże!

¹ *Registrator kolegiálny* – najniższy stopień służbowy w hierarchii urzędniczej Rosji carskiej.

Mitya zerwał się, przebiegł przez wszystkie pokoje i znów usiadł.

– Ale co się takiego stało? Mów wprost!

– Żyjecie tu jak dzikie zwierzęta, nie czytacie gazet, nie wiecie, co się dzieje na świecie, a w gazetach jest tyle wspaniałych rzeczy! Jeśli coś się stanie, zaraz o wszystkim wiadomo, nic się nie ukryje. Jaki jestem szczęśliwy, o Boże! Dotychczas w gazetach pisali tylko o sławnych ludziach, a tu w końcu wzięli i napisali o mnie!

– Co ty? Gdzie?

Tata pobladł. Matka spojrzała na święty obraz i przeżegnała się. Bracia wyskoczyli z łóżek i – w krótkich nocnych koszulkach – otoczyli starszego brata.

– Tak jest! To o mnie napisali! Teraz cała Rosja mnie zna! Trzeba będzie, mamusi, schować ten numer na pamiątkę! Będziemy do niego wracać i wspominać!

Mitya wyciągnął z kieszeni numer gazety, podał go ojcu i wskazał palcem fragment tekstu otoczony niebieskim ołówkiem.

– Czytaj!

Ojciec włożył okulary.

– Czytaj, szybko!

Mama znowu spojrzała na święty obraz i przeżegnała się. Tata zakaszał i zaczął czytać:

– „29 grudnia, o jedenastej w nocy, registrator kolegialny Dmitrij Kuldarow...”

– Widzisz? Widzisz? Dalej!

– „...registrator kolegialny Dmitrij Kuldarow, opuszczając piwiarnię na ulicy Małej Bronnej, zlokalizowanej w domu Kozikhina, będąc w stanie nietrzeźwym...”

– To o mnie! Popijałem wtedy z Siemionem Pietrowiczem. Wszystko jest opisane w najdrobniejszych szczegółach. No czytaj dalej! Słuchajcie!

– „...będąc w stanie nietrzeźwym poślizgnął się i upadł pod konia Iwana Drotowa, dorożkarza mającego tam postój, włościanina ze wsi Durykino, rejonu Juchnowskiego. Przerażony koń przeskoczył przez Kułdarowa i ciągnąc za sobą sanie ze znajdującym się w nich kupcem moskiewskim drugiej gildii Stepanem Łukowem, popędził ulicą i został zatrzymany przez stróżów. Kułdarow, początkowo nieprzytomny, został zabrany na komisariat policji i zbadany przez lekarza. Obrażenia, których doznał w tył głowy...”

– To hołobla² mnie uderzyła, tatusiu. Dalej! Czytaj dalej!

– „...których doznał w tył głowy, zaliczono do lekkich. Sporządzono protokół z wypadku, a poszkodowanemu udzielono pomocy medycznej...”

– Kazali mi robić zimne okłady na głowę. I co? Przekonaliście się w końcu? To jest to! Te wieści rozeszły się po całej Rosji! Niech no mi tatuś ją da!

Mitya wziął gazetę, złożył ją i schował do kieszeni.

– Pobiegnę do Makarowów, pokażę im... Trzeba też pokazać Iwanickim, Natalii Iwanownej, Anisimowi Wasiliczowi... Pędzę! Do widzenia!

Mitya włożył na głowę czapkę z kokardą i pełen radości i tryumfu wybiegł na ulicę.

² *Hołobla* – element zaprzęgu konnego

Antoni Czechow
Kot
 tłum. z rosyjskiego Sylwia Sabak

Autorem opowiadania *Kot*¹ jest Antoni Czechow – nowelista i dramatopisarz, klasyk literatury rosyjskiej. Utwór niewątpliwie został utrzymany w humorystycznym tonie, a różne zabawne sytuacje w nim przedstawione, jak na przykład wysłuchiwanie dźwięków dochodzących zza okna, wywołują uśmiech u czytelnika. Autor w swojej miniaturze humorystycznej zawarł żart i ironię, a także udało mu się ukazać świat, w którym to podwładny podporządkowuje się przełożonemu. Czechowa bez wątpienia można nazwać mistrzem słowa.

Najtrudniejsze w przekładzie opowiadania na język ojczysty było dla mnie uzyskanie odpowiedniej składni zdań, a także zrozumienie pewnych wyrażeń. We własnym języku jesteśmy oswojeni z frazeologią, rozumiemy konteksty polityczne i kulturowe, a z racji tego, że tekst opowiadania powstał w XIX wieku, było to dla mnie niemałym wyzwaniem. Opowiadanie zostało przez autora napisane bardzo rytmicznie, a czytając odgłosy wydawane przez koty, możemy je sobie wręcz wyobrazić. Staralam się oddać rytm obecny w oryginalnym tekście i mam nadzieję, że się udało. Zapraszam do czytania!

Sylwia Sabak

¹ Антон Чехов, *Кот*, в: Полное собрание сочинений и писем в 30-ти томах. Сочинения, т. 2, Москва: Наука, 1975, с. 131–135.

ANTONI CZECHOW

KOT

АНТОН ЧЕХОВ

Kom

Barbara Pietrowna obudziła się i zaczęła nasłuchiwać. Twarz jej pobladła ze strachu, a duże czarne oczy stały się jeszcze większe, kiedy okazało się, że to, co właśnie się działo, wcale nie było snem. Z przerażeniem zasłoniła rękoma twarz, podniosła się na łokciu i zaczęła budzić męża. Mąż zwinięty w kłębek, cicho chrapał i dyszał w jej ramię.

– Alosza, miły... Obudź się! Miły!... Ach... To straszne!

Alosza przestał chrapać i wyprostował nogi. Barbara Pietrowna złapała go za policzek. Mężczyzna przeciągnął się, głęboko westchnął i obudził się.

– Alosza, kochanie... Obudź się. Ktoś płacze...

– Kto płacze? Co Ty wygadujesz?

– Wsłuchaj się. Słyszysz? Ktoś jęczy... Ktoś musiał podrzucić nam dziecko... Ach, nie mogę tego słuchać!

Alosza wstał i zaczął słuchać. Przez szeroko otwarte okno spojrzała na niego szara noc. Razem z zapachem bzu i cichym szeptem lipy, słaby wietrzyk przyniósł do łóżka dziwne dźwięki... Nie można było rozpoznać, co to za dźwięki: czy to płacz dziecka, czy ktoś bardzo głośno narzeka na coś, czy to wycie... nie zrozumiesz! Jedno było jasne: dźwięki wydobywały się spod okna i nie z jednego gardła, a z kilku... Były tam dyszkanty, alty, tenory...

– Basiu, to koty! – powiedział Alosza. – Głupiutka!

– Koty? Nie może być! A bas to niby czyj?

– To świnia chrząka. Nie zapominaj, że przecież jesteśmy na dacy. Słyszysz? Tak właśnie jest, koty... Więc uspokój się, śpij z Bogiem.

Basia i Alosza położyli się i zaciągnęli na siebie koc. Przez okno ciągnęło poranną świeżością i zrobiło się trochę zimno. Małżonkowie zwinęli się w kłębek i zamknęli oczy. Pięć minut później Alosza przekręcił się na drugi bok.

– Spać nie dają, do diabła!... Krzyczą...

Koci śpiew tymczasem przeszedł w *crescendo*. Do dotychczasowych śpiewaków dołączyli najwyraźniej kolejni, a lekki szmer pod oknem stopniowo zamieniał się w hałas, wrzawę i harmider. Delikatne jak galaretką *piano* osiągnęło stopień *fortissimo* i wkrótce powietrze wypełniało się oburzającymi dźwiękami. Jedne koty wydawały wyraziście ostre dźwięki, inne wydobywały piśkliwe tryle dokładnie według rytmu nut ósemki i szesnastki, trzecie ciągnęły długą, monotonną nutę. A jeden kot, zapewne najstarszy i najgorliwszy, śpiewał jakimś nienaturalnym głosem, nie kocim, to basem, to tenorem.

– Miau... miau... tu... tu... tu... karrjau...

Gdyby nie charakterystyczne kocie syczenie, nie dałoby się pomyśleć, że to koty śpiewają. Basia przewróciła się na drugi bok i mruknęła coś. Alosza zerwał się, zaklął i zamknął okno. Ale okno nie jest grubą rzeczą; przepuszcza dźwięk, światło i energię elektryczną.

– Muszę wstać o ósmej i jechać na służbę – zaklął Alosza. – A one wyją, spać nie dają diabły... Zamknij się chociaż ty, proszę. Baba! Marudzi nad samym uchem! Jęczy tutaj! Czym ja zawiniłem? Przecież one nie są moje!

– Wypędź ich! Kochanie!

Mąż zaklął, wyskoczył z łóżka i podszedł do okna. Noc zaczęła się witać z kolejnym dniem. Spoglądając na niebo Alo-

sza zobaczył tylko jedną gwiazdkę, a i ta migotała ledwie-ledwie we mgle. W lipie zaszeleściły wróble, przerażone dźwiękiem otwierającego się okna. Alosza spojrzał na ziemię i zobaczył z dziesięć kotów. Wyciągając ogony, sycząc i delikatnie stąpając po trawie, niczym wielbłądy, krążyły i śpiewały wokół ładnej kotki, siedzącej na przewróconej do góry nogami wannie. Trudno było zdecydować, czego w nich było więcej: czy to miłości do kotki, czy dostojęstwa. Czy przybyli po miłość, czy tylko po to, by okazać swoją godność? W kontaktach między sobą była odczuwalna najbardziej wyrafinowana nienawiść! Po drugiej stronie ogrodzenia o pręty ocierała się świnia z prosiętami i prosiła o wejście do ogródka.

– Poszli... - szepnęła Alosza. - Kszysz! Ty czorcie! Psz! Fuij!

Ale koty nie zwracały na niego uwagi. Jedna tylko kotka spojrzała w jego stronę, w dodatku krótko, przelotnie i niechętnie. Była szczęśliwa i nie miała ochoty zwracać uwagi na Aloszę.

– Psz, psz – przekląły! Cholera diabeł by was wziął do szczętnie! Basia, daj mi tę karafkę! Oblejemy je! Cholera!

Basia wyskoczyła z łóżka i podała nie karafkę, a dzbanek z umywalki. Alosza położył się na parapecie i przechylił dzbanek.

– Ach panie, panie! – usłyszał nad swoją głową czyjś głos.

– Ach młodzi, młodzi! Można tak robić? Ach, ach, achach...

Młodzi!!

I za tym podążyło westchnięcie. Alosza podniósł twarz i ujrzał ramiona w perkalowym szlafroku z dużymi kwiatami i suche, żylaste palce. Z ramion sterczała małeńka, siwowłosa główka w czapce nocnej, a palce groziły. Starzec siedział przy oknie i nie odrywał wzroku od kotów. Jego oczy świeciły z pożądania i były maślane, jakby oglądały balet. Alosza otworzył usta, zbladł i uśmiechnął się.

– Pan chce spać? Niedobrze, proszę łaskawego pana. Występuje pan przeciwko naturze, młody człowieku. Podważa pan... że tak powiem, prawa natury. Niedobrze. Jaki ma pan w tym interes? W końcu to... eee... organizm. Jak pan myśli? Organizm? Trzeba to zrozumieć! Nie pochwalam, łaskawego pana!

Alosza stchórzył, poszedł na paluszkach do łóżka i pokornie się położył. Basia położyła się obok niego i wstrzymała oddech.

– To nasz... – wyszeptał Alosza... – Sam... I nie śpi. Podziwia koty. Co za diabeł! Nieprzyjemnie mieszkać z szefem.

– Młody człowieku! – Alosza usłyszał po minucie starczy głos.

– Gdzie pan jest? Proszę tutaj. Alosza podszedł do okna i zwrócił twarz ku starcowi.

– Widzi pan tego białego kota? Jak wam się podoba ten mój kot? – Jak pan sądzi? To mój! Styl, sposób! Podejdź! Spójrz! Miau, miau... Waśka, Wasieńka łobuzie! Wąsy to jak u łobuza! To jest syberyjski łobuz! Jakby bandzior... He, He, He. A kotka może mieć kłopoty! He He. Mój kot zawsze zwyciężał. Zobaczysz to teraz. Grunt to sposób.

Alosza powiedział, że jemu bardzo podoba się jego sierść. Staruszek zaczął opisywać styl życia swego kota, jego nawyki, pasje, i mówił tak, aż do wschodu słońca. Mówił ze wszystkimi szczegółami, cmokając i oblizując swoje żyłaste palce. Ot, i nie udało się zasnąć.

O pierwszej godzinie następnej nocy koty znów zaczęły śpiewać i obudziły Basię. Alosza nie odważył się wypędzić kotów. Był wśród nich kot jego ekscelencji, jego szefa. Alosza i Basia do rana słuchali kociego koncertu.

Antoni Czechow
O kobietach
tłum. z rosyjskiego Anna Kamińska

Opowiadanie *O kobietach*¹ jest jednym z wielu opowiadań Antoniego Czechowa – rosyjskiego pisarza, który tworzył na przełomie XIX i XX wieku. Opowiadanie to w znacznej mierze przyciągnęło moją uwagę dzięki krótkiej formie oraz ironicznemu stylowi pisania autora. Czechow bardzo krytycznie wypowiada się tu o kobietach, przesadnie z kolei wychwalając płęć przeciwną.

Przekład opowiadania *O kobietach* wbrew pozorom nie należał do prostych tłumaczeń. Wymagał ode mnie pełnego skupienia i wysiłku włożonego w poprawną interpretację. Podczas pracy z tekstem problematyczne okazały się cytaty, po które sięgałam do tekstów oryginalnych, tak, by zachować sens całego opowiadania.

Uważam, że w pełni poradziłam sobie z przekładem opowiadania tego wybitnego autora. Z perspektywy czasu widzę jak wiele przyjemności i radości sprawiło mi to tłumaczenie oraz jakiego doświadczenia nabyłam podczas tej pracy.

Anna Kamińska

¹ АНТОН ЧЕХОВ, *О женщинах*, в: *Полное собрание сочинений и писем в 30 томах. Сочинения*, т. 5, Москва: Наука 1976, с. 113–115.

ANTONI CZECHOW

O KOBIEtach

АНТОН ЧЕХОВ
О женщинах

Kobieta od początku stworzenia świata uważana była za istotę wstrętną i złośliwą. Jest na tak niskim poziomie fizycznego, moralnego i umysłowego rozwoju, że oceniać ją i szydzić z jej niedoskonałości ma prawo każdy, nawet pozbawiony wszelkich praw łajdak i używający cudzych chusteczek do nosa cwaniak.

Jej budowa anatomiczna stoi poniżej wszelkiej krytyki. Kiedy jakakolwiek solidna głowa rodziny widzi obraz kobiety *au naturel*¹, to zawsze krzywi się z obrzydzeniem i spluwa w przeciwnym kierunku. Postawienie podobnych obrazów w zasięgu wzroku, a nie na biurku czy w kieszeni, uważane jest za złe. Mężczyzna jest o wiele ładniejszy od kobiety. Bez względu na to czy jest żylasty, owłosiony i z trądzikiem, choćby miał czerwony nos i niskie czoło, to zawsze pogardliwie patrzy na kobiecie piękno i żeni się tylko po dokonaniu starannego wyboru. Nie ma takiego Quasimodo, który nie byłby głęboko przekonany, że pasuje do niego tylko piękna kobieta.

Pewien emerytowany porucznik, który okradł swoją teściową i paradował w półbucikach swojej żony twierdził, że jeśli człowiek pochodzi od małpy, to najpierw od tego żywego stworzenia powstała kobieta, a dopiero potem mężczyzna. Radca

¹ z fr. *au naturel* oznacza „naturalnie”.

tytularny Slumkin, przed którym żona chowała wódkę, często powtarzał: „Najbardziej szkodliwym robakiem na świecie jest płeć żeńska”.

Rozum kobiety jest bezwartościowy. Włosy ma długie, ale rozum krótki; u mężczyzny jest odwrotnie. Z kobietą nie można porozmawiać ani o polityce, ani o kursie giełdowym czy o czynszownikach. W czasie gdy gimnazjalista III klasy rozwiązuje już zagadnienie światowe, a kolegielni registratorzy studiują księgę *30000 wyrazów obcych*, dojrzałe i mądre kobiety rozmawiają tylko o modzie i wojskowych.

Kobieca logika stała się przysłowiowa. Kiedy jakiś radca dworu Anafemski albo strażnik departamentu Dorofiej zacznie rozmowę o Bismarcku albo o pożytku nauk, to dobrze ich posłuchać – przyjemnie i miło; kiedy czyjaś małżonka z braku innych tematów zacznie mówić o dzieciach lub o pijaństwie męża, to który małżonek powstrzyma się od tego, żeby nie krzyknąć: „Trajkotka! Zamęczy człowieka! Ależ logika! Panie! Opuść mnie grzesznemu!” Do studiów naukowych kobieta się nie nadaje. Najlepszym dowodem na to jest fakt, że nie zakłada się dla nich wyższych uczelni. Mężczyźni, nawet idioci i kretyni, nie tylko mogą studiować, ale także kierować katedrą, natomiast kobieta – puch marny! Nie pisze podręczników, nie wygłasza referatów i długich akademickich przemówień, nie bierze udziału w naukowych wyjazdach na koszt państwa i nie korzysta z zagranicznych dysertacji. Okropnie nierozwinięta! Nie ma ani krzty twórczego talentu. Nie tylko tworzy wielkie i genialne, ale nawet najbardziej przeciętne i wulgarne są dziełem mężczyzny, kobietę zaś natura obdarzyła tylko umiejętnością do zawijania pierożków w płody męskiego umysłu i robienia z nich papilotów.

Kobieta jest grzeszna i niemoralna. Jest źródłem wszelkiego zła. W jednej ze starych ksiąg napisano: „Mulier est mal-

leus, per quem diabolus mollit et malleat universum mundum”². Kiedy diabłu przychodzi do głowy zrobić jakieś świństwo lub intrygę to zazwyczaj posługuje się kobietą. Przypomnijcie sobie, że z powodu Belle Helene³ wybuchła wojna trojańska, Messalina sprowadziła z drogi cnoty niejednego skromnisia. Gogol powiada, że urzędnicy biorą łapówki tylko dlatego, że zmuszają ich do tego żony. To jest absolutną prawdą. Urzędnicy przepijają, przegrywają w winta i trwonią tylko swoje pensje na różne Amelie... Majątki antreprenierów, dostawców rządowych i sekretarzy ciepłych instytucji, zazwyczaj są zapisane na nazwiska żon. Kobieta jest całkowicie rozpuszczona. Każda bogata kobieta jest zawsze otoczona dziesiątkami młodych mężczyzn, pragnących jej służyć jako alfons. Biedni młodzi ludzie!

Ojczyźnie kobieta nie przynosi żadnej korzyści. Nie chodzi na wojnę, nie przepisuje papierków, nie buduje linii kolejowych, a zamykając przed mężem karafkę z wódką, przyczynia się do pomniejszenia dochodów akcyzy.

Krótko mówiąc jest przebiegła, gadatliwa, próżna, kłamliwa, obłudna, samolubna, tumanowata, lekkomyślna i zła. Jedno jest tylko w niej sympatyczne, a mianowicie to, że wydaje na świat tak miłe, wdzięczne i strasznie mądre istoty jak mężczyźni. Za to dobrodziejstwo darujemy jej wszystkie grzechy, Wszyscy będziemy dla niej wspaniałomyślni, nawet te kokoty w marynarkach i panowie, których w klubach biją świecznikami po mordach.

² Tłum. „Kobieta to młot, którym diabeł zmiękcza i młóci cały świat” (łac.)

³ *Belle Helene* – w mitologii greckiej królewna i królowa Sparty, bohaterka *Iliady* Homera.

Antoni Czechow
Bezbronna Istota
tłum. z rosyjskiego Olga Wadas

Jest mi niezmiernie miło, że mogłam chociaż w niewielkim stopniu przyczynić się do powstania tej książki. Tym samym przybliżyć szerszemu gronu odbiorców twórczość jednego ze znakomitych rosyjskich pisarzy – Antona Czechowa.

Praca nad przekładem tekstu pt.: *Bezbronna istota*¹ wyżej wymienionego autora, była niezwykle inspirującym doświadczeniem i czystą przyjemnością.

Mam nadzieję, że ten debiut będzie początkiem mojej przygody w roli tłumacza...

Olga Wadas

¹ Антон Чехов, *Беззащитное существо*, в: *Полное собрание сочинений и писем в 30 томах. Сочинения*, т. 6, Москва: Наука 1985, с. 87–91.

ANTONI CZECHOW

BEZBRONNA ISTOTA

АНТОН ЧЕХОВ
Беззащитное существо

Bez względu na to, jak silny był atak artretyzmu w nocy, bez względu na to, jak później trzeszczały nerwy, Kistunow mimo wszystko poszedł do pracy rano i natychmiast zaczął przyjmować klientów i petentów banku. Wyglądał na ospałego, udręczonego i ledwo mówił, oddychając trochę jak umierający człowiek.

– W czym mogę pomóc? – Zwrócił się do kobiety w przedpotopowej salopie¹, bardzo podobnej do dużego chrząszcza.

– Za przeproszeniem waszej ekscelencji – zaczęła trajkocząc. – Mój mąż, asesor kolegialny Szczukin, chorował przez pięć miesięcy i gdy, za przeproszeniem, leżał w domu i się leczył, otrzymał dymisję bez żadnego powodu wasza ekscelencjo, a kiedy poszłam po jego pensję, to, proszę sobie wyobrazić, że potrącone mu zostały aż 24 ruble i 36 kopiejek! Za co? – Pytam. – Bo on, powiedziano mi, brał z kasy wzajemnej pomocy, a koledzy poręczyli za niego. Jakże to tak? Czy on miał prawo brać bez mojej wiedzy? To niemożliwe, wasza ekscelencjo. Jakże to tak? Jestem kobietą ubogą i żyję tylko z najemców... Jestem słaba, bezbronna... Cierpię zniewagi od wszystkich i nie słyszę od nikogo dobrego słowa...

¹ *Salopa* – długie wierzchnie okrycie z pelerynką, watowane lub podbite futrem, noszone dawniej przez kobiety.

Petentka zamrugała oczami i zaczęła przegrzebywać szafkę w poszukiwaniu chusteczki. Kistunow wziął od niej petycję i zaczął czytać.

– Przepraszam, co to jest? – wzruszył ramionami. – Nic nie rozumiem. Pani trafiła nie tu gdzie trzeba. To zupełnie nas nie dotyczy. Należy skontaktować się z instytucją, w której małżonek pracował.

– Ech... drogi panie, byłam już w pięciu miejscach i nigdzie nie chcą przyjąć tego podania! – odpowiedziała Szczukina. – Już straciłam głowę, ale Bóg pobłogosławił mojego zięcia Borisa Matveicha, który poradził się z panem skontaktować: *Mamusia zwróci się do pana Kistunowa, jest to człowiek wpływowy i dla mamusi wszystko może zrobić...* Niech mi wasza ekscelencja pomoże!

– Nic nie możemy dla pani zrobić... Niechże pani zrozumie: mąż pani, z tego co jestem w stanie wywnioskować, służył w wojskowym wydziale medycznym, a nasza instytucja jest całkowicie prywatna, handlowa, to jest bank. Jak można tego nie rozumieć?!

Kistunow jeszcze raz wzruszył ramionami i zwrócił się do interesanta w wojskowym mundurze, z zauważalnym bólem zęba.

– Wasza ekscelencjo – piała żałośnie Szczukina – A na to, że mąż mój był chory, mam lekarskie zaświadczenie! – Oto ono, proszę spojrzeć!

– Doskonale, ja pani wierzę – powiedział z irytacją Kistunow. – ale powtarzam, ta sprawa nas nie dotyczy. To dziwne, a zarazem zabawne! Czy pani mąż naprawdę nie wie, gdzie powinien się zwrócić?

– On, wasza ekscelencjo, to nie wie nic. – Powtarza tylko w kółko: *Nie twoja sprawa! Idź stąd!* I to wszystko...

A czyż to sprawa, jeśli nie moja? Przecież na mojej to wszystko głowie! Na mojeeeej!

Kistunow ponownie zwrócił się do Szczukiny i zaczął jej wyjaśniać różnicę między wojskowym oddziałem medycznym, a prywatnym bankiem. Wysłuchiwała go uważnie przytakując przy tym głową i powiedziała:

– Tak, tak, tak... Rozumiem, wielmożny panie. W takim razie, wasza ekscelencjo, proszę mi wydać chociaż 15 rubli! Zgodzę się nie brać wszystkiego od razu.

– Uff! – westchnął Kistunow, odchylając głowę do tyłu. „Nie można pani nic wbić do głowy!” Proszę pojąć, że zwracać się do nas z taką prośbą jest równie dziwne, co złożenie pozwu rozwodowego w aptecę lub mennicy. To pani nie zapłacili, co my mamy z tym wspólnego?

– Wasza ekscelencjo, będę się za pana do końca życia modlić, zlituj się pan nad sierotą – załkała Szczukina. – Jestem słabą, bezbronną kobietą... Moje życie to udręka... z lokatorami się po sądach ciągam, za męża sprawy załatwiam i domem się zajmuję, a tu jeszcze przygotowanie do spowiedzi i zięć bez konkretnego zajęcia... Dobrze że chociaż jem i piję, bo na nogach to ledwo stoję. Cała noc nieprzespana...

Kistunow poczuł bicie swojego serca. Zrobił zboląłą minę i położył dłoń na sercu i znów zaczął tłumaczyć Szczukinie, ale głos zaczął mu się łamać...

– Nie, przepraszam, nie mam siły już z panią rozmawiać, – powiedział i machnął ręką. – Ja już mam zawroty głowy. Pani nam przeszkadza i marnuje czas na próżno. Uff!.. Aleksieju Nikołajewiczu – zwrócił się do jednego z pracowników – proszę to wytłumaczyć pani Szczukinie!

Kistunow, omijając wszystkich petentów, udał się do swojego biura i podpisał kilkanaście dokumentów, podczas gdy Aleksiej Nikołajewicz nadal miał przeprawę przez rozmowę ze

Szczukiną. Siedząc w swoim biurze, Kistunow przez długi czas słyszał dwa głosy: monotony, powściągliwy bas Aleksieja Nikołajewicza i płaczący, krzyczący głos Szczukiny...

– Jestem bezbronną, słabą, schorowaną kobietą – powiedziała Szczukina. – Może i pozornie wyglądam na silną, ale jeśli się lepiej przyjrzeć, to nie ma we mnie ani jednej zdrowej żyłki. Ledwo stoję na nogach i apetyt nawet straciłam... Co prawda wypilałam dzisiaj kawkę, ale jakoś bez większej przyjemności.

A Aleksiej Nikołajewicz wyjaśniał różnicę między wydziałami i złożonym systemem wysyłania dokumentów. Wkrótce jednak się zmęczył i został zastąpiony przez księgowego.

– Niezwykle paskudna baba! – Oburzał się Kistunow, nerwowo łamiąc palce i co chwilę podchodząc do karafki z wodą. – To jakaś idiotka, głupia jak but! Mnie zamęczyła i zaraz pewnie ich zamęczy! Uff... jak mi serce łomocze!

Pół godziny później zadzwonił. Przyszedł Aleksiej Nikołajewicz.

– I jak się sprawy mają? – zapytał ospale Kistunow.

– Nic się nie da tej babie przetłumaczyć! Jesteśmy wykończeni. My swoje, a ona swoje...

– Ja... ja... nie mogę znieść jej głosu... rozchorowałam się... nie zniosę tego więcej...

– Zawołam szwajcara – powiedział Aleksiej – Niech ją wyprowadzi.

– Ależ nie, nie! – przestraszył się Kistunow. – Ona znacznie wrzeszczeć, a w tym domu jest wiele mieszkań i czort wie, co sobie o nas pomyśla... Moi drodzy, postarajcie się jakoś do niej dotrzeć.

Po chwili znowu zabrzmiał głos Aleksieja Nikołajewicza. Po kwadransie jego bas zastąpił donośny tenor księgowego.

– Wy-ją-t-kowo okropna baba! – oburzał się Kistunow, nerwowo wzruszając ramionami. – Głupia, jak gęś, pal ją dia-

bli! Zdaje się, że znowu wraca mój artretyzm... Znowu migrena...

W sąsiednim pokoju Aleksiej Nikołajewicz, zupełnie wyczerpany, popukał palcem w stół, a następnie w swoje czoło:

– Jednymi słowy, pani ma na plecach zamiast głowy, ot co...

– No, proszę, proszę – obrazila się starucha – swojej żonie tak postukaj!... Dobra!... Ręce przy sobie trzymaj!

Patrząc na nią z nienawiścią i wściekłością, jakby ją chciał pożreć, Aleksiej Nikołajewicz wyrzekł cichym, stonowanym głosem:

– Wynos się stąd!

– Co-o?! – wyrzuciła z siebie Szczukina. – Jak pan śmie?! Jestem słabą, bezbronną kobietą, ale na to nie pozwolę! Mój mąż jest asesorem kolegialnym! Jak pójdę do adwokata Dmitrija Karłycza, to po tobie ślad nie zostanie. Z trzema lokatorami się już sądziłam, a za twoje zuchwałe słowa będziesz się jeszcze u nóg moich tarzał. Ja do waszego generała pójdę. Wasza ekscelencjo! Wasza ekscelencjo!...

– Wynos się stąd, zarazo! – wykrzyczał Aleksiej Nikołajewicz.

Kistunow otworzył drzwi i wyjrzał do kancelarii.

– Co się stało? – spytał płaczliwym głosem.

Czerwona jak rak Szczukina stała pośrodku pokoju, i przewracając oczami uderzała palcem w powietrze przed siebie. Opodal stali urzędnicy banku, również czerwoni ze zmęczenia, zmordowani, spoglądali na siebie wzajemnie.

– Wasza ekscelencjo – rzuciła się ku Kistunowi Szczukina. – O ten, ten, tutaj! – wskazała na Aleksieja Nikołajewicza – postukał palcem po stole, a potem po czole... Pan mu kazał sprawę rozpatrzyć, a on się nabija! Jestem słabą, bezbronną

kobietą. Mój mąż jest asesorem kolegiąlnym, a ja sama jestem majorówna!

– Dobrze, proszę pani – zajęczał Kistunow – wymyślę coś... podejmę środki... Proszę wyjść!...jest już po!...

– A kiedy dostanę, Wasza Ekscelencjo? Mnie pieniądze potrzebne są już.

Kistunow drżącą ręką potarł czoło, westchnął i znów zaczął tłumaczyć rzecz od początku.

– Łaskawa pani, ja już powiedziałem. To jest bank, instytucja prywatna, handlowa. Czego pani od nas chce? I proszę nareszcie zrozumieć, że pani nam przeszkadza.

Szczukina wysłuchiwała i westchnęła.

– Tak, tak – przytaknęła. – Niech pan będzie łaskawy ja całe życie będę się za pana modliła, Ekscelencjo, proszę być dla mnie wyrozumiałym, jak ojciec rodzony. Jeżeli świadectwa lekarskie nie wystarczą, to mogę przedstawić świadectwa z cyrkułu. Niech pan każe wydać mi pieniądze.

Kistunowowi zamroczyło się w oczach. Wypuścił całe powietrze, jakie miał w płucach, i bezsilnie opadł na krzesło.

– Ile pani chce? – zapytał słabym głosem.

– Dwadzieścia cztery ruble trzydzieści sześć kopiejek.

Kistunow wyjął z kieszeni portfel, odliczył dwadzieścia pięć rubli i podał Szczukinej.

– Niech pani weźmie i wyjdzie!...

Szczukina zawinęła w chustkę pieniądze, schowała je i ze słodkim, delikatnym, nawet zalotnym uśmiechem spytała:

– Wasza ekscelencjo, a czy nie mógłby mój mąż odzyskać swojej posady?

– Odpływam... jestem chory... – powiedział Kistunow mdlejącym głosem. – Mam straszne bicie serca...

Po jego wyjściu, Aleksiej Nikołajewicz posłał Nikitę po krople laurowe i wszyscy urzędnicy, zażywszy po dwadzieścia

kropel, dopiero wrócili do dalszej pracy; Szczukina zaś siedziała jeszcze około dwóch godzin w przedpokoju i rozmawiała ze Szwajcarem, oczekując powrotu Kistunowa.

Przyszła również następnego dnia.

Aleksandr Grin
Powietrzny statek
 tłum. z rosyjskiego Kamila Głuchowska

Aleksander Grin – wyjątkowy artysta; swoim kwiecistym i barwnym językiem kreuje emocje, uczucia i sytuacje. Jego opowiadanie zabiera czytelnika w świat dekadencej nudy i bezradności, z nutką zaciekawienia i ekscytacji towarzyszącego nowym doznaniom. Autor przekonuje, że zabawy, niewinne gierki i przypadkowy flirt nie zastąpią głębi obcowania z poezją i muzyką, a człowiek w życiu potrzebuje czegoś więcej by być szczęśliwym.

Metaforyczny język Aleksandra Grina okazał się dla mnie jako tłumacza niesamowitym wyzwaniem – zwłaszcza jeśli chodzi o porównania, niespotykane w czytanej dotąd w czytanych dotąd dziełach. Powiedziałabym, że wiele z jego środków artystycznego wyrazu posłużyło prezentacji duchowości człowieka, jego wewnętrznych przeżyć i emocji, które autor przyrównywał do wręcz nadprzyrodzonych zjawisk. Sytuacja, która została przedstawiona w opowiadaniu *Powietrzny statek*¹ również była nakreślona przez metafory, co było dla mnie niezwykle wyjątkowe. W moim odczuciu niewielu twórców prozy stosuje taką technikę, większość skupia się na opisie miejsca i rzeczywistości świata przedstawionego, Grin przedstawił nam atmosferę „przeżyć”.

Przy tłumaczeniu Grina wielkim wyzwaniem było dla mnie również przekazanie sensu wypowiedzi bohaterów, które miały wywołać u czytelnika określone emocje. Sztuką więc było

¹ Александр Грин, *Воздушный корабль*, в: *Собрание сочинений в 6-ти томах*, т. 1, Москва: Правда 1965, с. 272–278.

odgadnąć jakie zabarwienie emocjonalne powinna mieć dana fraza, a przełożenie jej dosłownie na język polski nie miałoby sensu, więc należało wdrożyć swój własny pomysł na stworzenie nowej frazy odpowiadającej tej autorskiej.

Ciekawą przygodą był dla mnie również przekład fragmentu wiersza, który był zawarty w opowiadaniu. Przy przekładzie poezji najważniejsze są rymy, by zachować rymy często trzeba zmieniać składnię frazy, a nawet zmienić kolejność niektórych wersów. By zachować ciągłość rytmiczną należało dodać też dodatkowe słowa, które nie mogły być oderwane od kontekstu i musiały łączyć całość.

Lekturę polecam każdemu, kto chce wzbogacić swój język i wszystkim poszukiwaczom nowych doznań literackich.

Kamila Głuchowska

ALEKSANDER GRIN

POWIETRZNY STATEK

Александр Грин
Воздушный корабль

Niewielka grupa ludzi siedziała na krzesłach i pufach w mrocznym kącie pomieszczenia. O niczym nie chciało się rozmawiać. Ogromna nuda zawisła w powietrzu stając się wielkim mistrzem ceremonii i towarzyszem szóstki różnych osób, znużonych życiem, zmęczonych monotonią codzienności, wręcz odczuwających wstręt do swojego życia, nie przedsiębiorczych i leniwych, kolejno wznoszących blahe toasty kawą i wszelkiego rodzaju alkoholami.

Stiepanow nudził się w tym towarzystwie już koło pięciu godzin, stresował się, rozmyślał o sednie prawd życiowych, wtrącał swoje uwagi, patrzył w oczy kobietom chwytając ich spojrzenia. Z niechęcią doszedł do wniosku, że wkrótce on i wszyscy odejdą stąd niezadowoleni i ospali z palącą potrzebą emocji, szumu, i niekończącej się zabawy. Jego nerwy były na skraju wytrzymałości, w uszach mu dzwoniło. Z czasem kolorowy i przytłaczający splendor starodawnej sali stał się wyraźny aż do bólu a następnie zmienił się w zatrwajający i piękny półsen.

Kiedy zamknięto bar, Stiepanow przeniósł się w inny kąt sali z trzema kobietami i dwoma mężczyznami. Nadal nie opuszczało go uczucie irytującego zakłopotania. Wzburzony tym uczuciem pomyślał: „Po co?”. Po co potrzebna jest ta nocna, rozgórzkowana bieganina? Każdy zajęty jest sobą i szuka tylko zgodnego partnera, przedmiotu rozrywki, na którym przyjemnie

zawiesić oko i porozmawiać. Po co to wszystko? Czego oczekują ci ludzie spici bezsenną smutną monotonią?

Stefan podszedł do nieznanego mu beletrysty i milcząc spojrział w jego zamglone, pozbawione wyrazu oczy i powiedział cicho:

– Co teraz robić?

Beletrysta zmrużył oczy, uśmiechnął się skromnie i powiedział:

– Nic. Daj się ponieść lenistwu. Jest pięknie. Nie czujesz tego? Piękna jest ta beztroska sielanka, piękna jest ta sala, piękne są kobiety. Czego więcej trzeba?

Beletrysta był dumny z tego co mówił. Jego twarz wyrażała błogość. Stiepanow stłumił w sobie chęć odpowiedzi, że również tego potrzebuje, ale ten piękny dom i kobiety niestety nie są jego. Usiadł na krześle i słuchał dalej.

Nagle zimną ciszę przerwały dźwięczne, miękko powtarzające się akordy. Grała Lidia Zauer, elegancka blondynka o chłodnym spojrzeniu, przenikliwym głosie, i o zadziwiająco subtelnym kolorze włosów połyskujących w świetle lamp.

Jej twarz od góry do dołu oświetlał brązowy świecznik. Kołysała się miarowo w rytm muzyki, zupełnie spokojnie i wręcz obco, zgodnie z dźwiękami unoszącymi się z wnętrza fortepianu. Stiepanow zamknął oczy, przysłuchując się muzyce. Pod koniec pochwycił melodię i przestał rozmyślać. Ta muzyka wzruszała go i pozostawiała wrażenie nieznośnej bliskości, urokliwej pieszczoty, niepewnej obietnicy, delikatnej złości do niewidocznej lecz pięknej istoty. Otworzył oczy i zauważył, że Zauer przestała grać.

– Kiedy muzyka przestaje grać – powiedział przybliżając się do czarnowłosej studentki – czuję się jakby wszyscy odeszli, a ja nagle zostaję sam.

– Tak, to prawda – zgodziła się z nim rozkojarzona i jakby jednocześnie uśmiechnęła się do Stiepanowa i beletrysty siedzącego po drugiej stronie.

Dziewczyna przez cały wieczór kokietowała obu mężczyzn i ta jej bezcelowa gra wyjątkowo drażniła Stiepanowa. Czasami miał wręcz ochotę podejść do niej i niegrzecznie zapytać: „Czyli, czego chcesz?”. Pytanie jednak zgasło nie wypowiedziane, w powietrzu było czuć intensywną obojętność, która burzyła ostrość myśli, ponownie rozpoczęła się gra spojrzeń, uśmiechów i fraz.

Kiedy Zauer wstała od fortepianu i zbliżyła się do gromadki milczących, zmęczonych bezsenną nocą ludzi, wszystkim wydawało się, że coś powie, uśmiechnie się lub zaproponuje powrót do domów. Jednak kobieta usiadła milcząc i zamarła. Jej oczy wyrażały radość. Milczenie stawało się nieznośne.

– Czego wszyscy oczekują? – rzuciła miniaturowa artystka siedząca obok Lidii. – Niedługo zamkną klub.... Dzisiaj nie ma już dokąd iść. A wszyscy czegoś oczekują. Czego?

– Oczekują, że dziewczęta zaczną całować mężczyzn i wyznawać im miłość – zaśmiał się student. – My mężczyźni jesteśmy słabi i niezdecydowani. Dziewczęta! Porzućcie uprzedzenia!

Błogi, ostrożny uśmiech wkradł się na jego usta ukazując rząd białych zębów. Nikt się nie zaśmiał. Artystka o czymś rozmyślała i poprawiała włosy. Lidia Zauer automatycznie popatrzyła na rozmówcę, a jej pogodna i zimna twarz stała się obca. Student kontynuował:

– Jest już wystarczająco ciemno, a nastrój staje się ponury. Proponuję zapalić światło. Zapalcie światło moi mili!

– Zapalenie światła nie pomoże wam dostrzec siebie – dociał Stiepanow z mistycznym wyrazem twarzy.

Student uprzytomnił sobie jak nieprzyjemny i odpychający jest jego wygląd, zrozumiał to i odpowiedział:

– Tak, powitajmy społeczeństwo trzeźwości!

Żart niepoprawnie rzucony w bezdenną ciszę znacznie pogłębił przynębiający ich nastrój. Trzy kobiece twarze, słabo oświetlone padającym na jałową posadzkę płomieniem żyrandola, były inne - każda z nich wyglądała inaczej, zupełnie jak trzy różne gatunki kwiatów – te trzy twarze wręcz uporczywie, niewzruszenie wyrażały pragnienie przenikliwej i błyskotliwej rozmowy, naturalnej bystrości, dociekliwości i siły, trafnie i stanowczo wypowiedzianych brzmiącym tonem fraz.

Jednak mężczyźni bezsilnie zastygli w martwym pragnieniu czegoś, co nie zależało od ich starań i woli, co władczo zapłonęłoby w ich sercach i stworzyło ich na nowo z intensywnie kipiącą w żyłach krwią, śmiałością nagłych pragnień i z brzmiącym słowem, świeżym jak mgła delikatnie okalająca pole o poranku. Zmęczeni otaczającą i drażniącą ich bezcelową wymianą ciągle nowych i nowych doznań, siedzieli przerzucając się krótkimi frazami skrycie obnażającymi leniwy sen myśli, znużenie i wyobcowanie.

Beletrysta po pięciominutowym milczeniu powiedział niskim głosem:

– W tym czasie na drugiej półkuli ziemskiej rozpoczyna się kolejny dzień. Tropikalne słońce stoi w zenicie i wylewa na ziemię gorący i złoty żar. Tam są palmy, araukarie, banany... A tutaj...

– A tutaj? – artystka przeniosła swoje mało uważne spojrzenie z czubków swoich butów na beletrystę. Interesujący początek...

– Hm... Tutaj... – Zająknął się beletrysta. Tutaj jesteśmy – my – ludzie mieszkający na północy, ludzie północnej kultury. Ludzie realnych snów, marzeń i mitów. Interesuje mnie

właściwie mówiąc kontrast – to co jest tutaj – dążenie, barwy, spontaniczna siła życia, absurd dusznej pasji – tam, pod magicznym okręgiem równika, jest samo życie, rzeczywistość... Odwrotnie – pragnienia tamtych ciemnych ludzi południa – nasza śmierć, wewnętrzna destrukcja, a nawet zezwierzęcenie.

– Państwo wybaczą – powiedział Stiepanow. – Oczywiście, są leniwi intelektualnie... ale czy Państwo ni w grosz nie pochwalacie tu całości organicznie zdrowej psychiki i piękna prymitywu?

– „Dwadzieścia ooo-siem!” – zabrzmiał głos krupiera rozlegający się z kąta sali, tymczasem ktoś, grający w *black jacka* nie uzyskawszy odpowiedniej liczby oczek, krzyknął dławiąc się zajadłe: „Dość!”

– Tak! – nienaturalnie nadymał się beletrysta kontynuując wypowiedź. – My, ludzie Północy, ludzie skrzydeł, skrzydlatych słów i porywów, skrzydatego mózgu i skrzydlatych serc. My – pierwowzór przyszłego. My nieskończenie silni, obdarzeni nadprzyrodzoną wrażliwością społeczną, w nas drzemie twórczy, zbiorowy żar całego narodu...

Stiepanow spojrział na studenta i beletrystę, teraz dokładnie zobaczył ich opuszczone łby, znerwicowanie ściśnięte skronie, spite twarze, zapadnięte oczy i rzadkie włosy. Studentka Antonowa bacznie patrzyła na mówcę i swoją kobiecą intuicją wyczuwała pochlebne pragnienie beletrysty przypodobania się niczego sobie kobiecie. Artystka niewinnie przebiegała oczami z jednej twarzy na drugą, sprawiając wrażenie, że wszystko rozumie, a także, że utożsamia się ze skrzydlatą kulturą ludzi Północy.

Wszyscy pozostali brutalnie zdali sobie sprawę z cudzego punktu widzenia na temat wielkości i wartości człowieka, przenikającego do ich myśli, utrzymującym w nich gorzkie przekonanie wyrażone krótkim, ślepym dźwiękiem „ja” i mimowolnie

pomyśleli, że tylko ich życie kryje w sobie płomienie przyszłych spostrzeżeń, siły i mocy. O tym mówili w samozachwycie, zastygnięci w bezruchu, uwikłani swoimi poglądami hardo i nieznacznie pochylali głowy. Między nimi chłodno, osobliwie i obco wyróżniała się twarz Lidii Zauer.

Beletrysta przekonany o swojej szczerości, z irytacją mówił jeszcze dużo o ludziach, potem niepostrzeżenie przeszedł na temat swojej osoby i ostatecznie zainteresował studentkę Antonową. Przez całe życie beletrysta tak żarliwie pielęgnował kłamstwa na swój temat, że ta czynność przychodziła mu z łatwością. Wszyscy słuchali. Każdy chciałby umieć opowiadać tak o sobie – bajkowo, a jednocześnie w oparciu o prawdę.

Potem beletrysta zamilkł, zapalił papierosa, uważnie się zamyślił i tępyim wzrokiem wpatrywał się w brązowy wzór na drzwiach. Przeszło minutę wyraźny kobiecy głos, prosto z głębi zadźwięczał miękkim recytatywem:

Na niebieski spieniony ocean
Gdy gwiazdy zapalą się nagle
Wypływa samotny żaglowiec
Wiatr wszystkie napina mu żagle
Wysokie maszty nieugięte
Żagle w bezruchu zastygnięte

– Lidia – powiedział Stiepanow, kiedy kobieta ostrożnie przerwała. – Przepięknie! Dalej, dalej! Czekamy!

– To nie moja muzyka – powiedziała Zauer, a jej małeńkie, różowe uszy troszkę się zaczerwieniły. – Kontynuuję... jeżeli to nie jest nudne...

– Brawo, brawo, brawo! – zakrzyknął, wręcz zaskamlał student. – Droga pani Lidio, nie milcz!

Różowa, chłodna twarz wnikliwie się spięła i ponownie rozganiając męczącą ciszę załkała, wzmacniając tym kolejny fragment, który popłynął wartko opowiadając z wielkością o wielkim:

Lecz śpią grenadierzy-własacze-
Gdzie Elba przetacza swe fale,
Pod Rosji śniegami wśród mrozów,
Pod piaskiem piramid w upale.

Ciężki chłód cudzej, pochłaniającej siły ścisnął pierś Stiepanowa. Siedział nieruchomo i rozmyślał o tym jak mało potrzeba, żeby w historycznym trójkącie szara figura z rękami skrzyżowanymi na piersi i z baczynym, ognistym spojrzeniem ożyła w stuletniej przepaści czasu... Ot, dwa-trzy wersy, dźwięczna fraza...

Marszałkowie wołania nie słyszą:
Inni zginęli w krwawym boju,
Drudzy zdradzili władcę swego
Szpadę swą sprzedali dla innego.

Głos Lidii drżał niepostrzeżenie delikatnym wzruszeniem, opuszczone rzęsy skrywały jej spojrzenie, aż Stiepanow chciał powiedzieć: „Niech pani nie milczy! Jakież to męczące!”

W mgnieniu oka porwany wartkim nurtem żywiołowego, tragicznego życia człowieka, który umarł królewską śmiercią, Stiepanow poczuł coś, co trudno nazwać słowami, rozczulającą wdzięczność żywego dla martwego; przejmujący niepokój gęsi, kiedy w tym bogactwie ptaszarni, słyszy z oddali krzyk przelatujących dzikich ptaków i pragnąc być jak one, wolna niczym włóczęga poszukujący w świecie swojego miejsca, biegnie

kulejąc, i przewraca się o rozpostarte rozwlekłe skrzydła, w jesienną wyblakłą trawę.

Tak stoi i ciężko oddycha
Dopóki zorza polanę zapłoni
Na chłodny, wystygły piasek
Łzy z oczu na ziemię roni

Kiedy wiersz zbliżał się ku końcowi, twarze obecnych stawały się napięte, zacięte, już tylko fałszywie znudzone. A Lidia Zauer myślała widocznie nie o nich, ani o tym, w czym obrazie nierozłącznie splata się złoto królewskich orłów z groźną muzyką Marsylianki. Jej oczy wyrażały spokój, były lekko wilgotne i chłodne: nie było tutaj już osoby o żywiołowym temperamencie. W jej głosie, podobnie jak w swojej duszy, Stiepanow poczuł niedostrzegalne ręce złożone do modlitwy, wyciągnięte w stronę płaskiej równiny życia i wiecznie szybującego, wybuchającego wyjątkowym wcieleniem człowieka-widmo.

Zaróżowiona twarz zamilkła; delikatne, niespieszne palce gładziły włosy – zwyczajny odruch kobiety zastanawiającej się co myślą inni. Ktoś wstał, zapalił światło i usiadł na swoim miejscu.

Lepiej byłoby gdyby tego nie robił, ponieważ na tle bezwzględного świata znajdującego się na rozżarzonych węglach, jeszcze litościwiej i bezradniej wyglądała jego twarz, kryjąca w sobie cząstkę spalonego i jałowego marzenia o sile i pięknie.

Michaił Bułhakow
Cztery portrety
 tłum. z rosyjskiego Aleksandra Michalska

Niniejsze opowiadanie stanowi efekt pracy translatorycznej i analitycznej jednocześnie. Nie jest sztuką przełożyć opowiadanie metodą kalkowania, gdzie tłumacz przekłada poszczególne słowa i frazy, lecz sztuką jest oddać właściwy sens i znaczenie jakie niesie za sobą tekst rosyjskiego klasyka.

Dla mnie, jako początkującego tłumacza, to zaszczyt, że mogę dokonać przekładu literackiego, takiego autora jak Michaił Bułhakow. Poza aspektem odpowiedzialności za tekst tłumaczony, który powinien spełniać nie tylko estetyczne ale i emocjonalne kryteria, tłumacz jest obarczony odpowiedzialnością, żeby realia i kultura drugiego narodu była jak najlepiej oddana i możliwa do zrozumienia przez docelowego odbiorcę.

Wybrane przeze mnie opowiadanie *Moskiewskie sceny*¹ wywołuje uśmiech oraz skłania do przemyśleń nie tylko ze względu na tytuł, który nawiązuje do związku frazeologicznego „dantejskie sceny” (zdarzenia wstrząsające, budzące zgrozę, a także zamieszanie, bałagan), ale również ze względu na kontekst wynikający z treści. Specyficzne poczucie humoru, precyzyjne opisy, a także „cięty” język autora, wszystko to sprawiło, że niniejsze opowiadanie stało się bardzo przyjemnym materiałem do pracy. Dodatkowa możliwość modelowania treścią, strukturą, osobistymi preferencjami, pozwoliła na przekład utworu Michaiła Bułhakowa według mojego autorskiego zamysłu.

¹ Михаил Булгаков, *Московские сцены*, в: *Собрание сочинений в десяти томах*, т. 1. *Дьяволиада: повести, рассказы, фельетоны, очерки 1919–1924*, Москва: Голос 1995, с. 246–252.

Największym wyzwaniem podczas pracy nad tłumaczeniem tekstu okazały się skróty, np. *Нарком, наркомпрос* czy też pewne przestarzałe nazwy stanowisk jak *присяжный поверенный* (adwokat). Inną trudnością, jaką napotkałam był styl: język typowy dla męskiego pisarza oraz męskiego odbiorcy. Pomimo tego, że wulgaryzmy w literaturze powszechnej nie są zjawiskiem nowym czy też nadzwyczajnym, to nadal napotykałam opory przed użyciem pewnych sformułowań. Jednakże przekład powinien oddawać ten sam mocny wydźwięk, toteż przełamanie barier stylistycznych nie stanowiło aż tak dużego problemu.

Mam nadzieję, że lektura poniższego tekstu będzie miłym doświadczeniem i wywoła podobne wrażenie jak tekst oryginału, który czyta się z wielką przyjemnością.

Aleksandra Michalska

MICHAŁ BUŁHAKOW

MOSKIEWSKIE SCENY

Михаил Булгаков
Московские сцены

– Proszę, zapraszam – grzecznie powiedział gospodarz, i carskim gestem wskazał na stół.

Jako że nie jesteśmy przyzwyczajeni, żeby proszono nas dwa razy, zasiedliśmy i rozłożyliśmy kosztowne, krochmalone serwetki.

Było nas czworo: gospodarz – adwokat¹, jego kuzyn – również emerytowany adwokat, kuzynka, wdowa po ważnym radcy stanu jeszcze z czasów carskich, następnie pracownica Socjalistycznej Rady Gospodarczej, a teraz po prostu Zinaida Iwanowa i gość – ja – były... zresztą, wszystko jedno... obecnie człowiek o bliżej nieokreślonych zajęciach.

Pierwsze kwietniowe słońce zapukało w okno i rozbłysnęło w szkle.

– I nastała wiosna, dzięki Bogu; tegoroczna zima była dokuczliwie męcząca – powiedział gospodarz i z czułością chwycił za szyjkę karafki.

– I lepiej już nie mówić o tym więcej! – zawołałem, wyciągając przy tym sardynkę z puszki, w mig obierając ją ze skóry, po czym smarując bułkę swoim masłem, przykryłem ją

¹ Oryg. *Присяжный поверенный* – adwokat w Imperium rosyjskim, pełniący służbę w sądzie okręgowym lub izbie sądowej. Nazwa funkcjonowała w latach od 1864 do 1917 roku.

rozszarpanym ciałem szprotki i delikatnie szczerząc zęby w stronę Zinaidy Iwanowej, dodałem: – Wasze zdrowie!

Wszyscy wychylili kieliszki.

– Nie za słabo... ekhem... rozcieńczyłem? – troskliwie zapytał gospodarz.

– W sam raz – odpowiedziałem, nabierając powietrza.

– No jakby ciut słabawy – odezwała się Zinaida Iwanowna.

Mężczyźni chórem zaprotestowali i tak wypiliśmy drugi raz. Służąca przyniosła wazę z zupą.

Po drugim kieliszku poczułem jak rozplywa się we mnie boskie ciepło i obejmuje mnie swoją błogością. W jednej chwili polubiłem gospodarza, jego kuzyna i odkryłem, że Zinaida Iwanowna, pomimo 38 lat, jest dość atrakcyjną kobietą. Dostrzegłem również brodę wiszącego na wprost mnie Karola Marksa, a tuż obok mapę linii kolejowych, która wcale nie była tak imponująco ogromna, jak przyjęło się uważać. A oto historia pojawienia się owego Karola Marksa² w mieszkaniu adwokata, nienawidzącego jego całą duszą. Mój gospodarz jest jednym spośród najinteligentniejszych ludzi w Moskwie, jeśli nie najinteligentniejszym. Ledwie poczuł, że nadchodzące zmiany stanowią sztukę poważną i długą, tak okopał się w swoim mieszkaniu, nie jak byle amator, lecz w solidny i przemyślany sposób. Pierwszą powinnością było ugoszczenie Terencjusza, który wybrudził mu całe mieszkanie, budując w jadalni coś na podobieństwo glinianej trumny. Tenże Terencjusz we wszystkich ścianach wydłubał gigantyczne dziury, przez które wsadził grube rury. Gospodarz zachwycony wykonaną robotą, powiedział:

² *Karol Marks* – niemiecki filozof, socjolog, ekonomista, historyk, dziennikarz i działacz rewolucyjny. Twórca socjalizmu naukowego

– Świetnie, o to właśnie chodziło! – i pojechał na ulicę Pliuściha³. Stamtąd zabrał Zinaidę Iwanowną i ugościł ją w swojej byłej sypialni, znajdującej się od słonecznej strony. Kuzyn zaś przyjechał z Mińska po trzech dniach. Kuzyna chętnie i szybko zakwaterował w byłej poczekalni (od przodu na prawo) i postawił mu czarny piec. Potem wsadził piętnaście pudów⁴ mąki do biblioteki (prosto wzdłuż korytarza), zamknął drzwi na klucz, na drzwiach powiesił dywan, do wiszącego dywanu przystawił etażerkę⁵, na której stały puste butelki i jakieś stare gazety. I tak biblioteka dosłownie zniknęła – sam diabeł by nie znalazł do niej wejścia. Takim sposobem z sześciu pokoi zostało tylko trzy. W jednym sam się ulokował z zaświadczeniem o wadzie serca, a pomiędzy dwoma pozostałymi pokojami (salon i gabinet) zdjął drzwi, przeobrażając je w dziwaczne podwójne pomieszczenie.

Nie był to jeden pokój, ponieważ było ich dwa. W żaden sposób nie było możliwe życie w tym osobliwym pomieszczeniu, zwłaszcza, że w tym pierwszym (salonie) bezpośrednio pod rzeźbą nagiej kobiety razem z pianinem obok postawił łóżko i, wołając z kuchni Saszę, powiedział jej:

– Oni będą tu przychodzić. Masz im mówić, że ty tu śpisz.

Sasza ze spiskowym uśmieszek odpowiedziała:

– Tak, panie.

Drzwi gabinetu zalepił mandatami, z których jasno wynikało, że jemu jako radcy prawnemu z urzędu należy się „dodatkowa powierzchnia”. Na dodatkowej powierzchni zbudował taką barykadę z dwóch półek z książkami, starego roweru bez

³ *Плющиха* – nazwa ulicy w Moskwie.

⁴ *Pud* – dawna rosyjska jednostka wagowa, 1 pud = 16,38 kg.

⁵ *Etażerka* – lekki, otwarty mebel stojący na podłodze, składający się z kilku półek, umieszczonych jedna nad drugą.

opon, krzesel z gwoździami i trzech karniszy, że nawet ja, świetnie znając jego mieszkanie, w dniu pierwszej wizyty po przemianie w wojenną fortecę, rozbiłem sobie obydwie kolana, twarz i ręce, rozerwałem z tyłu i z przodu marynarkę do samej podszewki.

Na pianinie gospodarz nalepił zaświadczenia o tym, że Zinaida Iwanowna jest nauczycielką muzyki, na drzwiach do jej pokoju zaświadczenie, że pracuje w Radzie gospodarczej, na drzwiach kuchnia, że jest sekretarzem. Drzwi wejściowe otwierał sam dopiero po trzecim dzwonku, a w tym czasie Sasza leżała na łóżku obok pianina.

Przez trzy lata zarówno mężczyźni (w nadjeżdżonych przez mole szarych paltach i czarnych płaszczach) oraz kobiety (z teczkami, w deszczowych brezentowych pelerynach) wpadali do mieszkania jak piechota na drut kolczasty i za nic nie mogli się przebić. Powróciwszy po trzech latach do Moskwy, z której lekomyślnie wyjechałem, zastałem wszystko na starym miejscu. Gospodarz tylko trochę schudł i uskarżał się, że go do końca wymęczyli.

Wtedy właśnie kupił cztery portrety. Łunaczarskiego⁶ zawiesił w salonie w najlepiej usytuowanym miejscu, tak żeby Komisariat ludowy absolutnie widział go z każdego punktu pokoju. W jadalni powiesił Marksa, a w pokoju kuchnia nad przepiękną, żółtą lustrzaną szafą, szpilkami przybił Trockiego⁷. Trocki został przedstawiony *en face*⁸ w binoklach, i, jak uważano, z dobrotliwym uśmiechem na ustach. Dopiero gdy gospodarz wbił

⁶ Anatolij Łunaczarski – radziecki filozof, teoretyk kultury i publicysta.

⁷ Lew Trocki – rewolucjonista rosyjski, socjaldemokrata i komunista. Jeden z twórców i przywódców RFSRR, ZSRR oraz Armii Czerwonej.

⁸ *En face* – z przodu.

w fotografię cztery szpilki, okazało się, że przedstawiciel Wojskowej Rady Rewolucyjnej Republiki nachmurzył się. Tak pozostał zasępiony. Następnie gospodarz wyjął z teczki Karla Liebknechta⁹ i skierował się do pokoju kuzynki. Ta spotkała go na progu pokoju i chwyciwszy się za biodra opiętymi plisowaną spódnicą, wykrzyczała:

– Tego to z wiele! Pókim żywa, Aleksandrze Palyć, żadnych Maratów i Dantonów¹⁰ w moim pokoju nie będzie!

– Zin... Ale przecież Mara... – zaczął gospodarz, lecz energiczna kobieta złapała go za plecy i wyrzuciła ze swojego pokoju. Gospodarz w zadumie wrócił do siebie i odłożył kolorową fotografię do lamusa.

Równy po upływie pół godziny nastąpił kolejny atak. Gdy dzwonek zabrzmiał po raz trzeci i nie ustawało stukanie w kolorową falistą szybę drzwi wejściowych, gospodarz w miejsce marynarki narzucił na siebie stary brudny frencz¹¹ i wpuścił trójkę nieznajomych. Dwóch było ubranych na szaro, jeden na czarno, wszyscy z rudymi aktówkami.

– Posiadacie tyle pomieszczeń... – rozpoczął jeden szarak i oszałamiającym pierwszym rzutem oka ogarnął mieszkanie. Przezornie gospodarz nie włączał światła, dzięki czemu lustra, wieszaki, drogie skórzane fotele i jelenie poroża rozpląwały się we mgle.

– No co wy, towarzysze! – oburzył się gospodarz i machnął rękami. – Jakie pomieszczenia?! Uwierzycie, że tylko w tym tygodniu było u mnie już sześć komisji? I nadal nic w mojej sprawie. Tu nie dość, że nie ma zbędnego pokoju, ale mi sa-

⁹ *Karl Liebknecht* – niemiecki polityk marksistowski i adwokat.

¹⁰ *Georges Jacques Danton* i *Jean-Paul Marat* – organizatorzy i przywódcy rewolucji francuskiej w XVIII wieku.

¹¹ *Frencz* – daw. kurtka o kroju wojskowym, z klapami i czterema naszytymi kieszeniami.

memu nie wystarczy. Proszę tylko spojrzeć – gospodarz wyjął z kieszeni pismo. – Należy mi się dodatkowo szesnaście arszyn¹², a mam tylko 13½. Właśnie. Ja się pytam, skąd mam wziąć pozostałe 2½ arszyna?

– Możemy zobaczyć co da się zrobić... – mruknął drugi szarak.

– P-przepraszamy, towarzyszu!...

I w tym miejscu przed nimi ukazywał się Łunaczarski. Cała trójka z otwartymi gębami przyglądała się ważnej osobistości.

– Tu kto mieszka? – spytał pierwszy szarak, wskazując na łóżko.

– Towarzyszka Aleksandra Iwanowa Jepiszina.

– Kim ona jest?

– Pracownica przemysłowa – odpowiedział gospodarz ze słodkim uśmiechem. – Zajmuje się praniem.

– A nie przypadkiem wasza służąca? – spytał podejrzliwie czarny.

W odpowiedzi gospodarz zaczął się śmiać.

– No co wy, towarzyszu! Myślicie, że jestem jakimś burżujem, co by służbę trzymał? Mi na chleb nie starczy, a służbę będę utrzymywać! Ha-ha!

– Tu? – rzucił lakonicznie czarny, wskazując na wejście do gabinetu.

– Dodatkowe 13½, na urząd mojej instytucji – zawile powiedział gospodarz.

Czarny niezwłocznie wszedł do przyciemnionego gabinetu. Nie minęła chwila, gdy w gabinecie gruchnęła z łoskotem miska, następnie usłyszałem jak upadając uderzył głową o łańcuch roweru.

¹² *Arszyn* – dawna rosyjska jednostka długości, będąca sumą długości łokcia i stopy, wahająca się w granicach 71,11–81,5 cm.

– Sami widzicie, towarzyszu – złowieszco powiedział gospodarz. – Ostrzegalem, że straszna tu ciasnota.

W końcu czarnemu udało się wydostać z wilczej jamy z pokaleczoną twarzą i podartymi kolanami.

– Nic się wam nie stało? – zapytał troskliwie gospodarz.

– A...ba...ba...ba...tu...tu...tu...ma... – niewyraźnie burczał coś pod nosem czarny.

– Tu mam towarzysza Nasturcina – oprowadzał po mieszkaniu gospodarz i opowiadał. – Tu jestem ja – szeroko wskazał na Karola Marksa. Na twarzach trójki intruzów narażało zdumienie – A tu jest towarzysz Szczerbowski – mówiąc to uroczyście wskazał na Trockiego. Trzech mężczyzn z przerażeniem patrzyło na portret.

– A ten tutaj, to kto? Z partii czy jak? – zapytał drugi szarak.

– On nie jest w partii – słodko wyszczerzył zęby nasz gospodarz. – Ale za to za partią, całą duszą komunista. Tak samo jak ja. Tu mieszkają sami odpowiedzialni robotnicy, towarzyszu.

– Odpowiedzialni komuniści – smętnie odburknął czarny, pocierając kolano. – A szafy z lustrami. To przedmioty luksusowe.

– Lu-ksu-sowe?! – wykrzyknął gospodarz pełen oburzenia. – No co wy, towarzyszu! Tam leżą stare wysłużone i porwane prześcieradła, pościel. Pościel, rzeczy podstawowe. W czasie gdy gospodarz sięgał do kieszeni po klucz do szafy, chwilę się zadumał i pobladł, bo przypomniał sobie, że wczoraj, właśnie pomiędzy porwane poszewki, schował sześć srebrnych uchwytów do szklanek.

– Pościel, towarzyszu, to przedmiot ładu i czystości. Nasi drodzy przywódcy – gospodarz wskazał obiema rękami na portrety – cały czas ciężko pracują nad tym, żeby proletariat pojął znaczenie i wagę czystości. Wszystkie choroby, epidemie...

tyfus, dżuma, cholera, wszystko co trzeba nam wiedzieć to to, że jedyny ratunek jest w utrzymaniu czystości wokół siebie i w sobie, towarzysze. Nasz wódz...

Odniosłem jasne wrażenie, że po twarzy fotograficznego Trockiego przeszedł skurcz i usta na chwilę się uchyliły, jakby ten chciał coś od siebie dodać. Chyba i gospodarz poczuł podobną refleksję, ponieważ nagle zamilkł i szybko zmienił temat:

– Tu, towarzysze, znajduje się toaleta, tutaj wanna, oczywiście popsuta, widzicie w środku jest skrzynia ze szmatami, teraz nie służy do kąpeli. Oto kuchnia – zimna. Tu się nie gotuje, no chyba, że nie ma innego wyjścia. Aleksandro Iwanowa, co pani robi w kuchni? W pani pokoju leży list. I tak, towarzysze, to wszystko! Chciałbym się starać o dodatkowy pokój, bo jak sami widzicie, towarzysze, codziennie kolana rozbijać, jest trochę śmieszne. Do kogo mam się zgłosić, żeby mi przyznał jeszcze jeden pokój w tym mieszkaniu? Oczywiście na kancelarię.

– Idziemy, Stiepan – powiedział pierwszy szarak, bez nadziejnie machając ręką, i trzyosobowy komitet skierował się w stronę przedpokoju przy akompaniamencie stukotu kozaków.

Gospodarz runął na krzesło, jak tylko zniknęły na schodach cienie po intruzach.

– Litości – krzyknął. – I tak każdy boży dzień! Daję wam słowo, że kiedyś mnie wykończą.

– No cóż – w końcu się odezwałem. – Nie wiadomo, kto kogo wykończy!

– Hi-hi! – zaśmiał się gospodarz i wesoło gruchnął: – Sasza! Podaj samowar!

Taka była historia portretów, a szczególnie Marksa. Ale wracając do opowiadania...

...Po zupie, zjedliśmy wołowy strogonow, wypiliśmy po szklaneczce białego Masandra¹³, następnie Sasza podała kawę. Wtedy w gabinecie rozległ się kruchy dzwonek telefonu.

– Zapewne Małgorzata Michałowa – uśmiechnął się zadowolony gospodarz i polecił do gabinetu.

– Tak... tak... – było słychać z gabinetu, po kilku sekundach z gabinetu wydobył się wrzask:

– Jak?!

Głucho zapiszczała słuchawka i znów wrzask:

– Władimir Iwanowicz! Prosiłem! Wszystkich urzędników! Jak to tak?!

– Aaa! – zawołała kuzynka – czyżby go nie obłożyli?

Słuchawka gruchnęła z rozmachem i wnet gospodarz pojawił się w drzwiach.

– Obłożyli? – krzyknęła kuzynka.

– Gratuluję - wściekle odpowiedział gospodarz. – Ciebie, moja droga, obłożył!

– Jak to?! – kuzynka stanęła na równe nogi. – Nie mają prawa! Przecież mówiłam, że służyłam w tym miesiącu!

– Mówiłam, mówiłam – przedrzeźniał gospodarz Zinaidę. – Nie trzeba było gadać, tylko się upewnić co ten łajdak pisał w rejestrze! A to wszystko twoja wina – zwrócił się do kuzyna. – Prosiłem tyle razy, no pójdź, no pójdź! A teraz, on nas troje oznaczył!

– Durniu – odpowiedział kuzyn, wylewając żółć. – Co ja niby zrobiłem? Dwa razy mówiłem tej kanalii, żeby nas odznaczył jak urzędników! Sam jesteś winny! To twój znajomy! Sam powinienes poprosić!

¹³ Oryg. *Ай-Даниль* – białe, słodkie wino produkowane na Krymie w miejscowości Aj-Danil.

– Swołocz, a nie znajomy! – zagrmiał gospodarz. – To mi dopiero kolega! Tchórz cholerny! Oby tylko z siebie ściągnąć odpowiedzialność.

– Na ile? – krzyknęła kuzynka.

– Pięć!

– A czemu tylko mnie? – zapytała.

– Nie martw się – sarkastycznie odpowiedział gospodarz. – Dojdą i do mnie, i do niego. Widocznie jeszcze nie doszli do nas. No jeśli ciebie na pięć, to na ile mnie rzucą?! Cóż począć – nie ma sensu się rozsiadać. Ubierajcie się, pojedźcie do inspektora rejonowego, wyjaśnijcie mu, że zaszła pomyłka. Też pojedę. Szybko, szybko!

Kuzynka wybiegła z pokoju.

– Co za czasy nastały? – smutno westchnął gospodarz. – Nie dadzą ani odpocząć, ani terminu wolnego. Jak nie przez drzwi, to przez telefon! Tak się od konfiskaty wybroniłem, że grzywnę dostałem. Jak daleko to wszystko zajdzie? Co jeszcze oni wymyślą?!

Gospodarz spojrzał tylko na Karola Marksa, zaś on siedział niewzruszony i milczał. Twarz miał taką, jakby chciał powiedzieć:

– Mnie to nie dotyczy!

Brzegi jego brody złociły się w kwietniowym słońcu.

Aleksandr Bielajew
Pan Śmiech
tłum. z rosyjskiego Natalia Bogdalska

Praca nad tłumaczeniem opowiadania Aleksandra Bielajewa *Pan Śmiech*¹ była dla mnie niezwykle pouczającą i przyjemną przygodą.

Przełożenie tekstu zawierającego dużą ilość powtórzeń i krótkich zdań, w taki sposób, żeby nie wywołać u czytelnika zmęczenia i znudzenia było wielce ciekawym wyzwaniem. W oryginale powtórzenia te nadają utworowi osobliwy charakter i stanowią swojego rodzaju „most” umożliwiający łagodne przejście do fantastycznej części opowiadania.

Kolejną rzeczą, na którą musiałam zwrócić uwagę był sposób przedstawienia ogromnej pewności siebie bohaterów, towarzyszącej wszystkim podejmowanym przez nich decyzjom. Moim zadaniem było sprawić, aby odbiorca, tak samo jak podczas czytania oryginalnego tekstu, w pewnym momencie zaczął wątpić w niepowodzenie niedorzecznych planów bohaterów opowiadania. To właśnie próba odwzorowania efektu płynnego przejścia w odbiorze, zarówno bohaterów jak i fantastycznych elementów świata, była jednocześnie najtrudniejszym i najciekawszym zadaniem. Pożądanym celem było przetłumaczenie tekstu w taki sposób, żeby czytelnik nie skupiał swojej uwagi na nadnaturalnych elementach i na chwilę zapomniał o tym, że jest w nich coś nadzwyczajnego, a prawdziwy świat wcale tak nie wygląda.

¹ Александр Беляев, *Мистер Смех*, в: *Собрание сочинений в 9 томах*, т. 8, Москва: ТЕППА 1994, с. 247–270.

W tekście może pojawić się kilka niezrozumiałych potencjalnemu czytelnikowi słów, jednak ostatecznie nie zdecydowałam się na umieszczenie przy nich przypisów. Uznałam, że wyjaśnianie ich znaczenia byłoby odebraniem przyjemności płynącej z samodzielnego poszukiwania wiedzy i wzbogacania własnego słownictwa.

Natalia Bogdalska

ALEKSANDR BIELAJEW

PAN ŚMIECH

Александр Беляев
Мистер Смех

1. Na rozdrożu

Spolding przypomniał sobie szczęśliwe, jak mu się wydawało minuty, kiedy chował do aktówki świadectwo ukończenia Instytutu Politechnicznego.

On – inżynier-mechanik, i cały świat stojący przed nim otworem. Dla niego świeci słońce, dla niego uśmiechają się dziewczyny. Dla niego rozkładają pawie ogony luksusu witryny sklepowe. Dla niego gra wesoła muzyka w szykownych kawiarniach, dla niego mkną po asfalcie błyszczące samochody.

Co prawda dzisiaj wszystko to jest dla niego niedostępne, ale być może już jutro weźmie pod rękę niebieskooką dziewczynę o jaskrawo różowych wargach, wsładzie z nią do błyszczącego samochodu i pojedzie do najlepszej restauracji w mieście.

Cóż, oczywiście to wszystko będzie „jutro”, nie w dosłownym znaczeniu tego słowa. Najpierw trzeba znaleźć pracę. Popracować jako inżynier u gospodarza. Zaoszczędzić trochę pieniędzy i otworzyć własny biznes. A później wszystko pójdzie jak po maśle.

Znaleźć pracę... To oczywiście nie jest łatwe. Spolding dobrze o tym wie. Ale kryzys i bezrobocie nie są strasznymi słowami dla niego – Spoldinga. Czy którykolwiek ze studentów w instytucie był takiego wzrostu, wagi i miał takie mięśnie jak

on? Czy nie pokonywał wszystkich swoich towarzyszy we wszystkich dyscyplinach sportowych? A umysł! Czy nie ukończył studiów jako jeden z lepszych? Mógłby być najlepszy, jeśli by się tak bardzo nie zajął sportem.

Najważniejsze, że nikt nie ma takiej stalowej woli, takiego uporu w dążeniu do władzy, takiego namiętnego pragnienia bogactwa, takiego apetytu na wszystkie dobrodziejstwa życia i takiej fanatycznej zawziętości w osiągnięciu celu.

I Spolding rzucił się do walki niczym wygłodzony wilczek, uruchamiając wolę, żądze, zęby i pazury. Ale prędko okazało się, że tego wszystkiego jest za mało. Pazury przydały mu się tylko do tego, żeby kiedyś zedrzyć ze złością wiszące na bramie fabryki ogłoszenie „Nie przyjmujemy”. Zębami gryzł z wściekłości trzcinową laskę, otrzymując kolejną odmowę. W większości przypadków nie udawało mu się przeniknąć nie tylko do gabinetu dyrektora ale i do sekretarza. Pozostawało jedynie rozmawianie przez telefon z biura przejściowego lub z westybulu. Pewnego razu spróbował nawet przedrzeć się siłą przez kordon, ale został haniebnie wyprowadzony pod ręce z gabinetu osobistego sekretarza magnata budowy maszyn.

Żył za bardzo małe pieniądze, często nie dojadł i był rozgoryczony. Ze złośliwą radością rozmyślał o tym, jak sam będzie jeszcze bardziej bezlitosny wobec nieudaczników, kiedy już, mimo wszystko, osiągnie wyżyny ziemskiego dobrobytu. A jeśli zwykle drogi są za trudne trzeba znajdować szybsze, nowe i niecodzienne.

Nowe drogi! Gdzie te nowe drogi są? Spolding zaczął łapczywie przysłuchiwać się i łowić każde słowo o szybkich lub niecodziennych sposobach na wzbogacenie się.

Jakoś w wagonie kolei podziemnej, Spolding usłyszał rozmowę o sukcesie pewnego pisarza-humorysty, który jedną książką zbudował sobie ogromny majątek. Spolding sam czytał

tę wesołą książkę i zaśmiewał się serdecznie. Ale przecież on, Spolding, nie posiada daru literackiego. Przez kilka dni czytał o człowieku, który mimo kryzysu obłowił się w miliony po opatentowaniu środka na porost włosów. Sekret tkwił w tym, że ten środek – niewiarygodne, ale to jest fakt – rzeczywiście wywoływał wzmożony porost włosów. Lecz wynalezienie takiego albo podobnego środka nie jest łatwą ani szybką drogą. W innej gazecie oznajmiano o kolosalnych zarobkach znanego aktora komediowego – Presto. Niestety Spolding nie posiadał i artystycznego talentu.

Spolding zmęczony, rozdrażniony, z ciężkim ładunkiem dziennych zmartwień i żalów, wrócił późnym wieczorem do domu. Chodził po wąskim pokoju z oknem wychodzącym na dwór i słuchał jak za ścianą ktoś smętnie grał na dziwnym instrumencie. Dźwięki przypominały to flet, to skrzypce, to kontralt.

Te dźwięki działały mu na nerwy. Niezrozumiały był tembr, niezrozumiała była zmieniająca się melodia – to czarująca i przepiękna, to koszmarna i absurdalna. Niezrozumiałe były, tak jak i wczorajszego wieczoru, nieoczekiwane przejścia dźwięków muzycznych na strzelanie z karabinu maszynowego, które jednak bardzo szybko się zakończyły. Niezrozumiały na koniec był wykonawca. Uczeń nie mógł grać na tyle genialnie takich technicznie trudnych rzeczy, a artysta nie mógł wykonywać muzycznych absurdów o tak dziwnej treści i formie.

Te dźwięki intrygowały i niepokoiły Spoldinga już od kilku dni. Trzeba będzie zapytać panią domu kto zamieszkał w sąsiednim pokoju. I dzisiaj za ścianą po ucichnięciu dźwięcznej melodii skrzypiec, nagle rozległ się piekielny, żelazny zgrzyt, świst i piszczenie.

Spolding zaczął stukać w ścianę.

Dźwięki umilkły.

2. Królowa łez

Pukanie...

– Proszę wejść.

W półotwartych drzwiach pojawiła się wysoka, czterdziestoletnia, wysoka i rumiana gospodyni pensjonatu. Nie wchodząc do pokoju powiedziała:

– Pan wybacz, panie Spolding... Zdaje się, że sąsiadka przeszkadza panu swoją okropną muzyką? Powiem jej, żeby nie grała po ósmej wieczorem.

– Dziękuję, pani Adams – odpowiedział Spolding. – Ta muzyka rzeczywiście trochę mnie niepokoi. Ale nie chciałbym zawstydząć sąsiadki, jeśli dla niej te fenomeny dźwiękowe nie są zabawą, a pracą. Mogę przychodzić do domu później...

– Ach, nie, nie! Koniecznie powiem pannie Bulwer. Ona jest nieprzyzwoicie młoda... to znaczy, chciałam powiedzieć: nieprzyzwoicie ekscentryczna w swojej młodości. Wynalazczy-ni! – zakończyła swój werdykt z dozą pogardy pani Adams.

Spolding zainteresował się:

– Ekscentryczka? Wynalazczyni? I co ona takiego wynajduje? Niech pani wejdzie do pokoju, pani Adams!

Ale pani Adams nie tak była wychowana, żeby wchodzić do pokoju samotnego kawalera i pozostała przy drzwiach.

– Dziękuję, ale się spieszę – odpowiedziała. – Nie chcę mówić niczego złego o pannie Bulwer, ale wszyscy ci wynalazcy są trochę tacy – i pani Adams pokręciła koło czoła grubym palcem z dwiema obrączkami. – Ona mówi, że tworzy taką piosenkę, od której zapłacze cały świat: i niemowlę, i stuletni staruszek, i szczęśliwa panna młoda, i pogodny młodzieniec, nawet koty i psy. Mówi: „I wtedy ja będę Królową łez” – to jej własne słowa, niczego nie dodaję.

Panią Adams zawołano. Kobieta przeprosiła, obdarowała Spoldinga uśmiechem na pożegnanie i poszła.

Na pierwszym piętrze znajdowała się obszerna, oszklona weranda wychodząca na ogród z wątlými drzewami i dwoma klombami.

Weranda była swojego rodzaju klubem dla mieszkańców domu pani Adams. Stały tu stoliki, wiklinowe meble, sztuczne palmy w kątach, doniczki z kwiatami na parapetach i klatka z zieloną papugą, ulubienicą gospodyni. Wieczorami grywano tu w szachy i domino, rozmawiano, tańczono przy dźwiękach gramofonu, czytano gazety, niekiedy pito herbatę i jedzono przekąski.

Do tej pory Spolding nie odwiedzał tego klubu, w którym zbierali się nędzni urzędnicy, rzemieślnicy, handlarze, pechowi pośrednicy i agenci własności, początkujący pisarze, studenci – dom był duży, a mieszkańcy często się zmieniali. Teraz Spolding odwiedził klub i spotkał się w nim z panną Bulwer.

Zanim się zapoznali, przez kilka dni ją obserwował. Opinią wydana przez panią Adams zupełnie nie pasowała do tej dziewczyny. W ogóle nie przypominała ekscentryczki, a tym bardziej „szurniętego” wynalazcy. Prosta, spokojna. Rysy twarzy zwykłe, przyjemne.

– To panna nazywa siebie Królową łez? – zapytał pewnego razu Spolding.

Bulwer uśmiechnęła się.

– Ja chcę się nią stać. I nie tylko Królową łez, ale i Królową radości. Królową ludzkiego nastroju, jeśli pan woli.

– Zmuszać ludzi do płaczu lub śmiechu? Czy to jest możliwe?

– A czy to nie dzieje się i teraz? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Bulwer. – Czy nie spotykał pan wrażliwych,

prostych ludzi, którzy nie mogli powstrzymać się od łez, kiedy słyszeli dźwięki marszu pogrzebowego wykonywanego przez orkiestrę dętą? I czy u tych ludzi nogi nie zaczynały same podrygiwać przy dźwiękach tanecznej piosenki? Kiedy do końca przenikniemy tajemnicę wesołości i smutku, sprawimy, że nie tylko najbardziej wrażliwi ludzie zapłaczą i zaśmieją się. Zmusimy sam smutek do tego, żeby tańczył jak mu zagramy, a radość przelewała palące łzy.

Spolding uśmiechnął się.

– Tak, to jest wizja godna bogów – powiedział. – I sądzi Pani, że z tego można wyciągać dolary?

– Mój patron, pan Goud, myśli, że tak. Inaczej nie subsydiowałby, mimo że bardzo skromnie, moich eksperymentów.

– Pan Goud? Czym on się zajmuje?

– Produkcją mechaniczną radości i smutku. Jest fabrykantem płyt gramofonowych.

I dziewczyna opowiedziała Spoldingowi historię swoich relacji biznesowych z panem Goudem.

Lucia Bulwer ukończyła konserwatorium klasy kompozycji. Już na ostatnich kursach konserwatorium zajęła się pracą teoretyczną, która ją niezwykle pochłonęła. Chciała zrozumieć sekret piękna w muzyce. Dlaczego jedna sekwencja dźwięków pozostawia nas obojętnymi, druga drażni, a trzecia zachwyca? Na te pytania nie było odpowiedzi ani w teorii harmonii i kontrapunktu, ani w pracach na temat estetyki i psychologii. Wówczas Bulwer wzięła się za prace teoretyczne na temat akustyki i fizjologii.

– I do jakiegoż praktycznego celu panna dążyła? – zapytał Spolding.

– Na początku tej pracy nie myślałam o żadnym praktycznym celu. Odkryć sekret piękna! Badając notację muzyczną i harmonię starałam się znaleźć w tych wzorach prawidłowości.

I coś mi się już udało. Później próbowałam sama układać wzory oraz przekształcać je w dźwięki i proszę sobie wyobrazić, zaczęły mi wychodzić całkiem niespodziewane, oryginalne melodie.

Pewnego razu przyniosłam panu Goudowi skomponowaną przeze mnie piosenkę. Przypadkowo razem z nutami wypadł mi z teczki jeden z takich wzorów. Pan Goud zainteresował się, zapytał co to za czarna magia, ja wyjaśniłam. Pan Goud powiedział: „Interesujące. Chyba może wyjść z tego coś sensownego. Wie panna, ja skupuję od kompozytorów nowe piosenki i romanse... Monopolistycznie. Tylko do moich płyt gramofonowych. W wydawnictwach muzycznych się nie pojawiają. Ale z kompozytorami, niech panna się nie obraża, trudno żyć w zgodzie. Jak tylko kompozytorowi uda się stworzyć jedną-dwie popularne piosenki, robi się zarozumiały i żąda absurdalnie wysokiej ceny. Tak można szybko zbankrutować. I tak, jeśli by się udało pannie stworzyć urządzenie, przy pomocy którego można by było mechanicznie produkować melodie, no przynajmniej tak, jak otrzymuje się końcową liczbę na arytmometrze, byłoby fantastycznie. Nie potrzebowałbym więcej kompozytorów, uwolniłbym się od ich kaprysów i nadmiernych roszczeń. Wspaniale! Posadzić za urządzeniem pracownika albo maszynistkę i proszę! Jedna dobra melodia za drugą wpadają pannie w ręce. Tylko przekręcić korbką i pieniądze same się posypią. I świat zostanie zalany nowymi piosenkami. Będzie panna w stanie to zrobić?”

Odpowiedziałam, że nie myślałam o całkowitej zamianie twórczości artystycznej na maszynową i chyba nie jest to możliwe.

„Rachunki matematyczne są niemniej skomplikowane, czym panny wymysły kompozytorskie, a jednak maszyny liczące doskonale zastępują pracę mózgu. Niech panna spróbuje. Ja

mogę subsydiować panny doświadczenia. Jeśli panna osiągnie sukces, panny przyszłość będzie w pełni zabezpieczona”.

Przyjęłam tę propozycję.

– I jakież są panny osiągnięcia? – zapytał Spolding.

– Udało mi się już opanować jakieś formuły estetyczne do matematycznej konstrukcji melodii. A jeśli ta praca dalej pójdzie z takim samym sukcesem...

Po werandzie przeszła pani Adams. Była późna godzina, weranda prawie opustoszała. Bulwer życzyła Spoldingowi dobrej nocy i wyszła.

3. Eureka!

Po tym jak Spolding dowiedział się, czym zajmuje się Bulwer, stracił nią wszelkie zainteresowanie, niczym „sfinksem bez zagadki”.

Któregoś dnia, miesiąc po rozmowie z panną Bulwer, Spoding wracając do domu metrem przeczytał w gazecie: „Koncernowi Bekforda grozi bankructwo”.

Spoldinga interesowało wszystko, co dotyczyło wzlotów i upadków ludzi – od losów Napoleona do historii milionów Rothschilda i Rockefellera – dlatego uważnie przeczytał artykuł w gazecie. Okazało się, że Bekford był jednym z „gagmanów” – profesjonalnych komików, takich w stylu francuskich konferansjerów. Akurat to Spolding wiedział, ale dalej było coś nowego. Okazało się, że „handel śmiechem” jest w Ameryce rozprzestrzeniony na szeroką skalę. Wymyślanie dowcipów to taki sam „biznes” jak i wyrób kapeluszy czy spinek do mankietów. I największym „koncernem” tego typu było przedsiębiorstwo pana Bekforda – „pierwszego gagmana w Ameryce”. Bekford wymyślał i sprzedawał dowcipy, pisał skecze, numery humorystyczne do komedii muzycznych, dla pracowników estradowych, klau-

nów i komików teatralnych. Dorobiwszy się na tym małej fortuny, zaczął kupować i odsprzedawać cudze dowcipy, zbierać i klasyfikować „światowe zapasy wywoływania śmiechu” – książki komediowe, historyczne anegdoty, płyty gramofonowe z humorystycznymi nagraniami. Jego katalog zawierał ponad czterdzieści tysięcy dowcipów, żartów i anegdot. Cały materiał był sklasyfikowany tematycznie, ponumerowany i skatalogowany. Dowolny żart można było znaleźć w ciągu dwudziestu sekund.

Każdego roku katalog powiększał się o trzy tysiące numerów. Żeby wyselekcjonować pierwsze czterdzieści tysięcy, Bekford musiał przejrzeć ponad trzy miliony żartów i dowcipów. Zleceniodawca wymagał, żeby na programach stworzonych przez Bekforda słuchacz śmiał się nie mniej niż osiemdziesiąt razy na godzinę. Bekford przekroczył ten wymóg: słuchacze śmiali się od dziewięćdziesięciu do stu razy, a na najlepszych programach nawet – rekordowa cyfra – sto dwadzieścia razy w przeciągu pół godziny. Według teorii Bekforda, widzowie i słuchacze wcale nie gonią za nowymi żartami, które do tego trudno jest wymyślić.

Wszystko, czego wymaga się od profesjonalisty, to umiejętność dobierania starych dowcipów.

Ta teoria jakby potwierdzała się w życiu, a przynajmniej sprawy „koncernu” szły pomyślnie.

Bekford obrósł „filialnymi” przedsiębiorstwami: kinem, music-hallami i innymi – nawet sprawił sobie bank. I niespodziewanie cała ta solidna konstrukcja zaczęła się systematycznie rozpadać. Z niewiadomego powodu słuchacze i widzowie śmiali się coraz rzadziej i rzadziej: siedemdziesiąt, sześćdziesiąt, czterdzieści, dwadzieścia razy w przeciągu godziny zamiast osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu, stu „obowiązkowych”. Obroty się zmniejszały...

Dlaczego? Spolding zadumał się. Być może Bekford nie uwzględnił zmiany okoliczności.

Kryzys. Powszechny niepokój w kraju i w całym starym świecie. Uczucie niestabilności, niepewności. Bekford był nieokrzesanym praktykiem. Nie próbował odpowiedzieć na pytania teoretyczne. Przejrzyć i odkryć naturę śmieszności. Przestudiować psychologię współczesnego widza, słuchacza, czytelnika. Ludzie się zmieniają, zmienia się i ich podejście do śmieszności. To, co śmieszyło wczoraj, dziś wywołuje zdziwienie. Pojęcie śmieszności jest ruchome i różnorodne, ale jakieś ogólne zasady śmiechu powinny istnieć. Być może sprowadzają się do pięciu-sześciu głównych „wzorów”. I jeśli by je znaleźć i umiejętnie stosować odpowiednio do ludzi i okoliczności, ludzie zaczęłyby się śmiać. A czemu by nie? Bulwer ma nadzieję znaleźć zasady piękna. I jeśli tak, to... przecież to kopalnia złota! Bekford był i pozostał nędznym chałupnikiem. Nie zrozumiał, że śmiech to nie tylko waluta, ale i potężna siła. Jak kusząco, władać sekretem śmiechu i zmuszać do głośnego rechotu wszystkich ludzi przy wszystkich okolicznościach!

Spoldingowi aż ręce zlodowaciały. Co trzeba zrobić? Co by się nie stało trzeba wydrzeć od śmiechu jego tajemnicę. Studiuować zagadnienia teoretycznie i praktycznie. I później działać. Nie ma ustalonego kapitału! Na początek można zaproponować swoje usługi temu gagmanowi i bankierowi Bekfordowi, a później...

Spolding tak się zaabsorbował, że aż trzasnął dłonią w gazetę i nieoczekiwanie dla samego siebie krzyknął na cały wagon:

– Eureka!

Sąsiadka odsunęła się ze strachem, a Spolding spojrzawszy przez okno znowu krzyknął, ale już z irytacji na siebie: zamyśliwszy się przejechał o pięć stacji za dużo.

Odprowadzany śmiechem pasażerów rzucił się do wyjścia.

Od tego dnia Spolding zasiadł do pracy...

4. Droga do sławy

Spolding zrobił notatkę na marginesie grubego zeszytu, przeszedł po pokoju, wziął z półki na książki tom Marka Twaina, otworzył na założonej stronie i przeczytał podkreślone ołówkiem zdania:

„Masz brata? – Tak, mówiliśmy na niego Bill. Biedny Bill! – Znaczy, on umarł? – Tego nigdy nie mogliśmy się dowiedzieć. Nad tą sprawą wije się głęboka tajemnica. Byliśmy – zmarły i ja – bliźniakami i kiedy mieliśmy dwa tygodnie, kąpano nas w jednej balii. Jeden z nas w niej utonął, ale żadnym sposobem nie dało się dowiedzieć który. Jedni myślą, że Bill, inni, że ja...”

Spolding zaśmiał się, zaraz zmarszczył brwi, zamyślił się. Rzucił na biurko tomik Marka Twaina i znowu przemaszerował po pokoju.

„W czym tu sekret śmieszności?”

Spolding otworzył książkę Henriego Bergsona „Śmiech”. „Śmieszna jest gnuśność maszyny w miejscu, gdzie powinna być ruchliwość, uprzejmość i żywa elastyczność człowieka. Człowiek funkcjonujący niczym martwy automat. Oto jeden z sekretów śmieszności. Człowiek biegnie ulicą, potyka się, upada. Przechodnie się śmieją. Człowiek zajmuje się swoimi codziennymi sprawami z matematyczną wręcz precyzją, ale właśnie jakiś złośliwy chochlik popsuł otaczające go przedmioty. Człowiek zanurza pióro w kałamarzu i wyciąga stamtąd brud. Myśli, że siada na stabilne krzesło i wyklada się na podłodze...”

„To przecież prawda! – dziwi się Spolding. – Przecież to jest standard wszystkich chwytów komediowych w naszych

amerykańskich filmach! Jednak obowiązkowo muszę wypróbować skuteczność tego na poszczególnych osobach. Swoją drogą, właśnie, krzesło ze złamaną nogą, właśnie...”

Pani Adams podeszła do drzwi i z ciekawością zajrzała przez dziurkę od klucza. Spolding stał przed lustrem i robił okropne grymasy. Stukanie w drzwi odciągnęło jego uwagę.

Kto to może być? No oczywiście, to pani Adams idzie sprawdzić czy niczego mi nie trzeba. Przetestujemy na niej.

– Proszę wejść!

Pani Adams otwiera drzwi. Spolding robi kilka kroków na spotkanie. W połowie drogi płaczą mu się nogi i głupio wyklada się w całości na podłodze. Ale pani Adams się nie śmieje, tylko histerycznie krzyczy i przypada do Spoldinga.

– Potłukł się pan? Wszystko w porządku? Boże, tak się przestraszyłam!

– Nic, nic, lekko zakręciło mi się w głowie pani Adams. Proszę usiąść w fotelu. Ja też przysiadę. W głowie jeszcze mi się kręci.

Spolding siada na krzesło ze złamaną nogą i idiotycznie wytrzeszczając oczy z gruchotem upada na podłogę. Adams definitywnie się przestraszyła i podbiegła zmieszana.

– Pan jest chory, to przecież całkowicie oczywiste. I twarz się panu zmieniła, jest okropnie wykrzywiona, nieruchoma. Taki wyraz twarzy bywa u... bardzo chorych!

Niestety, śmieszny – jak się Spoldingowi wydawało – grymas, wywoływał nie śmiech, a przerażenie.

Kiedy w końcu pani domu poszła, Spolding rzucił się do swoich książek. W czym przyczyny niepowodzenia?

Wydawało mu się, że znalazł wytłumaczenie: przy śmiechu niezbędna jest beznamietność do obiektu śmiechu. Ale w tym właśnie rzecz, że on, Spolding, nie jest pani Adams obo-

jętny. A czy można rozśmieszyć zakochaną w tobie kobietę? Oczywiście, można. Trzeba tylko odkryć sekret...

Stopniowo opanowywał tajemnicę śmieszności.

Spolding szybko został „duszą towarzystwa”, zbierającego się na werandzie (znowu zaczął się tam pojawiać). Obok niego niezmiennie rozbrzmiewał śmiech.

– Nie wiedzieliśmy, że jest pan taki zabawny – mówili pensjonariusze.

Zabawnych lubią i Spolding czuł rosnącą do niego sympatię.

Stopniowo stawiał sobie coraz trudniejsze zadania: rozśmieszał ponurych, chorych, strapionych czymkolwiek i przygnębionych ludzi. Miał jeszcze niepowodzenia, błędy, ale coraz łatwiej było je korygować. Były za to i prawdziwe zwycięstwa. W pensjonacie Adams pojawił się nowy mieszkaniec, emerytowany oficer Ballontain, człowiek o niezwykle posępnym charakterze i wyjątkowych życiowych porażkach. Mówi się, że tylko w zeszłym roku stracił połowę swego majątku, lewą nogę i żonę, która go opuściła z powodu ciężkiego charakteru. Do tego miał chorą wątrobę i wyróżniał się niezwykle drażliwością. Nikt nie widział go nie tylko śmiejącym się, ale i uśmiechającym. I właśnie takiego człowieka Spolding postanowił rozśmieszyć. Wiedzieli o tym wszyscy, oprócz samego Ballontaina i były zawierane poważne zakłady. Spolding już wkraczał na pole profesjonalnego twórcy śmiechu.

Jakby nie zwracając uwagi na starego zrzędę, Spolding zaczął demonstrować swoje sprawdzone numery. Ballontain siedział na niskim tapczanie, objął skrzyżowanymi palcami kolano zdrowej nogi i patrzył na Spoldinga czarnymi, gniewnymi oczyma. Wokół wszyscy zanosili się od śmiechu, Ballontainowi choćby mięsień na twarzy drgnął. Stawiający na Spoldinga zaczęli już z niepokojem szeptać między sobą: być może

Ballontain jest głuchy, jak nigdy nie śmiejący się dziadek w opowiadaniu Marka Twaina?

Ale tu nieoczekiwanie Ballontain wybuchnął. I jego wybuch śmiechu był podobny do wystrzału armaty, przy czym zgodnie z regułami odrzutu broni, korpus odchylił mu się do tyłu, a potylicą tak boleśnie uderzył o ścianę, że na kilka minut stracił przytomność: przykładano mu zimne kompresy i dawano wachać spirytus.

Tryumf Spoldinga był całkowity.

Weranda stawiała się za ciasna dla jego eksperymentów i postanowił popracować jako gagman w music-halle. Miał już solidne przygotowanie teoretyczne (jakiego nie mają artyści), i zebraną dużą ilość dowcipów i anegdot wszystkich czasów i narodów. Nic dziwnego, że sukces przyszedł do niego od razu, a za sukcesem dość duże zarobki. Spolding hojnie rozliczył się z panią Adams i ku jej wielkiemu zmartwieniu przeniósł się do nowego mieszkania w centrum miasta.

Zdobywszy solidne doświadczenie teoretyczne i praktyczne, Spolding postanowił zaproponować swoje usługi Bekfordowi. Spolding posiadał już jakąś renomę i bez większego trudu udało mu się dotrzeć do Bekforda, porozmawiać i przekonać żeby wziął go do siebie w roli „konsultanta merytorycznego”.

Spolding gorliwie zabrał się za robotę. Zapoznał się z katalogiem „dzieł sztuki światowych dowcipów i żartów”, z płytami gramofonowymi, zbiorem filmów. Interesy Bekforda były nastawione na marketing masowy i dlatego Spolding wziął się za studiowanie przeciętnego Amerykanina – jego upodobań, jego natury. Trzeba było wyjaśnić, dlaczego rekordowe programy Bekforda nie wywołują wcześniejszego śmiechu i jakim sposobem można znowu ten śmiech wywołać. Od badania tłumu, masowego przeciętnego Amerykanina, Spolding przeszedł do studiowania odrębnych osób, zwykłych przedstawicieli po-

szczególnych klas i grup społecznych. Rozśmieszyć bezrobotnego, robotnika, urzędnika obawiającego się zwolnienia; właściciela domu, który pozostał bez najemców, sklepikarza bez klientów; przedsiębiorcę pustoszejącego teatru. Rozśmieszyć głodnego kalekę, aresztanta, melancholika. Rozśmieszyć człowieka przytłoczonego troskami, owładniętego niepokojem, trwogą. Rozśmieszyć ich wszystkich – znaczy rozśmieszyć przeciętnego Amerykanina, zdrowego z natury, skłonnego do optymizmu i humoru.

Po wytrwałej pracy Spoldingowi udało się rozwiązać te kwestie.

– Spolding, pan nawet martwego zmusi do śmiechu! – mówił zadowolony ze swojego konsultanta Bekford.

Można było zająć się powiększeniem produkcji. I tu Spolding przejawiał dużą inwencję.

Rozszerzył krąg klientów, zleceniodawców, zaktualizował „asortyment towarów”, wymyślił nowe rodzaje i typy produkcji. Broszury reklamowe z załączonymi „próbkami towarów” były rozsyłane aktorom teatralnym i kinowym, dramaturgom, pisarzom, dziennikarzom, adwokatom, konferansjerom, klaunom cyrkowym, lekarzom, strażnikom więziennym, pedagogom, profesorom, fryzjerom, nawet proboszczom cerkwi różnych wyznań.

„Śmiech metodą leczenia!” – przy tym przywoływano przykłady i autorytatywne opinie uczonych. „Wesoły fryzjer przyciąga klientelę!” – historia pana Gopkinsa, fryzjera, który wzbogacił się po tym, jak zaczął korzystać z usług koncernu Bekforda. „Klient pana Bekforda, pan G., oczarował swoimi wesołymi żartami pannę N., bogatą i ładną dziewczynę, i ożenił się z nią”; „Teatr, w którym nie przestaje rozbrzmiewać śmiech nigdy nie ma pustych miejsc – przekonujące przykłady”.

Reklamy robiły swoje, popyt wzrastał. Ku pewnemu zdziwieniu samego Spoldinga, on sam zwerbował całkiem sporo klientów wśród cerkiewnych kaznodziejów, którzy jakimś cudem wpadli na sposób połączenia ziemskiego, grzesznego śmiechu z niebiańską ckliwością.

W sprzedaży pojawiły się nowe płyty firmy Bekford z zapisami zniewalających występów Spoldinga, płyty z listami otwartymi zawierającymi anegdoty i śmieszne piosenki, pudełka z niespodziankami wywołującymi śmiech, magiczne cygara wywołujące śmiech, papierosy, cukierki, lornetki, stereoskopy, zabawki, lustra, karzełki, zwierzątka wykonywujące nieoczekiwane zabawne ruchy lub wydające śmieszne dźwięki. W zręcznych rękach Spoldinga, niczym u mitycznego starca Proteusza przybierającego rozmaite oblicza, śmiech stawał się to słowem, to dźwiękiem, to kolorami, to formami, to tym i innym na raz. Nieoczekiwany sukces – duży dochód – przyniósł ostatni wyznalazek Spoldinga – uliczne „kioski śmiechu”, gdzie przechodnie za małą sumę mogli w pięć minut naśmiać się do woli. Wychodzili stamtąd z załzawionymi od śmiechu oczami i radosnymi okrzykami. To było najlepszą reklamą i przy kioskach zawsze tłoczyły się kolejki.

Interesy Bekforda polepszyły się i szybko poszły w górę. Właściciel firmy był w pełni zadowolony ze Spoldinga, ale Spolding nie był zadowolony ze swojego mocodawcy.

W swoim czasie zawarli taką umowę: Bekford płaci Spoldingowi stałe miesięczne wynagrodzenie. Ponadto, jak tylko dochody Bekforda zaczną rosnąć, Spolding otrzymuje dwa procent – tylko dwa procent! – od kwoty nowych, dodatkowych dochodów. Ale czym bardziej rosły dochody, tym mniej Bekford przejawiał chęci do przestrzegania umowy. Bekford nie chciał płacić dwóch procent.

Między Spoldingiem i Bekfordem zaszło już kilka większych konfliktów. Bekford nawet sam je prowokował: w taki sposób szybciej będzie można zrezygnować ze Spoldinga, który, według Bekforda, nie był już potrzebny.

– Niech pan nie ma do mnie pretensji, panie Bekford!
– wykrzyknął pewnego razu w czasie takiej kłótni Spolding.
– Uchroniłem pana od ruiny. Na moim śmiechu stworzył pan nowy kapitał i nie patrząc na swoje obietnice, teraz pan odmawia wypłacenia mojej części. Niech pan więc wie, że potrafię śmiechem odebrać panu swoją część śmiechu przemienioną w pieniądze!

– Istotnie to najbardziej niefortunny żart z mojego katalogu zawierającego pięćdziesiąt tysięcy żartów i dowcipów – pogardliwie uśmiechając się odpowiedział Bekford.

– Popatrzymy dla kogo będzie niefortunny! – grożąc zaoponował Spolding.

Po tym Spolding na długo się odseparował wykonując jakieś nowe eksperymenty.

I oto...

5. Do góry nogami

Ociężałe ciało pana Bekforda przechyliło się przez podłokietnik fotela, trzęsąc się w konwulsjach. Jego twarz była zniekształcona w grymasie histerycznego śmiechu. Szyja pokryta dużymi kroplami potu. Pulchna ręka z masywnym sygnetem na serdecznym palcu zwisała bezradnie, dotykając perskiego dywanu. Bekford próbował usiąść prosto, ale napad bolesnego śmiechu znowu zarzucił go na bok.

Nadzwyczajnym wysiłkiem woli panu Bekfordowi w końcu udało się podnieść i usiąść prosto, odchylwszy się na oparcie fotela.

Wybuchy śmiechu były słyszane coraz rzadziej, niczym przemijająca burza. Pan Bekford zaczął dochodzić do siebie, ale jeszcze nie potrafił dokładnie zrozumieć, co właściwie zaszło. Przez półotwarte drzwi z sąsiedniego pokoju, gdzie mieścił się sekretariat, dochodziły dziwne, bezsensowne, przytłumione dźwięki, ni to śmiechu, ni to szlochania, łkanie, ciężkie westchnienia, jęki, urywane frazy i znów śmiech.

Jakaś diabelska sprawka!

Bekford machinalnie popatrzył na biurko pokryte grubym lustrzanym szkłem. Leżała na nim książeczka czekowa ze sterczącym białym grzbietem. Bekford własną ręką wypisał czek na „dziesięć milionów dolarów”, podpisał się, oderwał czek od grzbietu i oddał Spoldingowi. Bładoniebieska twarz Bekforda staje się sina, a policzki liliowe. Nowy wybuch łającego śmiechu niespodziewanie przechodzi we wściekły ryk rozwścieczonego osła. W odpowiedzi na ten ryk w sąsiednim pokoju zajęczeli, zawyli, zaskomlali, zaparskali, zakaszłali, zastękali, zachichotali na różne głosy, ale nikt nie przyszedł z pomocą. Być może im samym była potrzebna pomoc. Ta myśl pomogła Bekfordowi ostatecznie nad sobą zapanować – był przecież potężnym szefem firmy, właścicielem drapacza chmur, był potężnym panem dla tych wszystkich podwładnych, biednych ludzi.

Bekford próbował przypomnieć sobie co się stało, ale nie łatwo było to zrobić, kiedy po setnym piętrze drapacza chmur Bekforda przeszedł tajfun szaleństwa i przewrócił wszystko do góry nogami. Była słynna „martwa godzina” Bekforda – od ósmej do dziewiątej rano, kiedy w całkowitej samotności układał plan kampanii dziennej – kogo puszczać na dno, z kim zawrzeć tymczasowy sojusz, komu zadać druzgoczący cios. Jeśli jednocześnie poniosłyby fiasko nowojorska, paryska i londyńska giełda wraz z państwowymi bankami, jeśli księżyc spadłby na

ziemię, nikt nie mógł, nie śmiał, nie miał prawa wdzierać się do jego gabinetu i naruszać godzinę celebracji.

I oto dziś... Bekford już zorientował się w „dyslokacji” międzynarodowych sił finansowych i zaczął rzucać krótkie, ale dokładne polecenia swoim dyrektorom, agentom, maklerom giełdowym, przekupionym urzędnikom ministerstwa finansów, redaktorom gazet, gdy nagle – nie uwierzył swoim uszom! – w sąsiednim pokoju osobistego sekretarza dał się słyszeć nieprzystojny hałas, który mógł naruszyć harmonijny przebieg jego myśli, tym samym wyrządzając Bekfordowi ogromne straty. W ślad za hałasem rozbrzmiał już całkowicie nieprzystojny śmiech. To było równoznaczne z buntem, rebelią. Szef firmy już wyciągał rękę do „alarmu”, jak nagle drzwi gwałtownie się otworzyły, a fale szalonego śmiechu wypełniły ogromny gabinet. W drzwiach stał ten łajdak Spolding, w szarym garniturze i słomkowym kapeluszu. Bekford odrzucił lekko do tyłu swoją okrągłą głowę i spojrzał na nieproszonego gościa tym sprawdzonym, lodowatym, przeszywającym wzrokiem, od którego peszyli się najbardziej zahartowani cwaniacy i wypaleni dyplomaci.

Spolding wytrzymał to spojrzenie i nagle zrobił jakiś lekki, ale niewiarygodnie śmieszny grymas, jakiś prosty gest, nadający nieodparty komizm całej postaci i powiedział tylko jedną frazę. Teraz Bekford nie mógł nawet jej sobie przypomnieć – coś zupełnie niespodziewanego, absolutnie nie pasującego do miejsca i czasu, ale być może właśnie dlatego do takiego stopnia zabawnego, że Bekford wnet roześmiał się takim spontanicznym, zaraźliwym śmiechem, jakim nie śmiał się od czasów swojej wczesnej młodości. Spolding nie zdejmując kapelusza, szybko przeszedł po dywanie odległość od drzwi do biurka, stanął przy biurku, oparł rękę na szklanej powierzchni i w przerwie od śmiechu Bekforda powiedział:

– Czy nie warto, panie, zakończyć nasze rozliczenia? Niech pan się pofatyguje podpisać i wydać mi czek na dziesięć milionów dolarów!

Bekford na sekundę przestał się śmiać i z przestrachem popatrzył na Spoldinga – czy ten aby nie zwariował; rozśmieszanie pierwszego gagmana jest na tyle niedorzeczne, jak częstowanie cukierkami producenta cukierków!

Spolding uśmiechnął się i powiedział:

– Mam nadzieję, że będzie pan wystarczająco rozsądny. Nie? – Ponowna gra mimiczna i jakaś nowa fraza wywołująca u Bekforda niepohamowany śmiech.

– Czek niech pan wypisze na okaziciela – Bekford zaśmiał się i skulił niczym ptak złapany w sidła. Wyciągnął rękę do dzwonka, ale napad gorączkowego śmiechu sparaliżował jego ruch. Wszystkie mięśnie całkiem osłabły. Ciało jakby zwiotczało. Z tęsknotą spojrzął na otwarte drzwi – na pomoc stamtąd nie można było liczyć: maszynistki i sekretarki skręcały się w paroksyzmach śmiechu, niby w przedśmiertnych konwulsjach strasznej choroby epidemicznej... A Spolding, ten zły geniusz śmiechu, kontynuował dręczenie ciała i nerwów pana Bekforda. Astmatycznej budowy ciała szef zaczął się dusić, i wycharczał:

– Milion!

– Dziesięć i raz! – odpowiedział Spolding.

– Dwa!

– Dziesięć i dwa! – dodał Spolding.

Bekford zamieniał się w kisiel. Śmiał się tak, że oczy mu się wywróciły, wargi zsiniały, w boku kuło i nie starczało tchu. Upór mógł się źle zakończyć. Bekford poprosił o litość. Jest gotów podpisać czek na dziesięć milionów, ale nie może tego zrobić: drżą mu ręce. Spolding przestał rozśmieszać, Bekford złapał oddech i podpisał czek. Koniec końców to i nie takie straszne. Bekford zdąży poinformować bank, żeby nie wypłacali pieniędzy.

dzy. Spolding niedbałym gestem schował czek do kieszeni, podniósł słomkowy kapelusz i rzucił na pożegnanie taki żart, który sprawił, że Bekford nie był w stanie do jakichkolwiek działań na czas, którego potrzebował Spolding żeby spokojnie odejść.

Tymczasem Bekford, głęboko westchnąwszy niczym człowiek przebudzony po koszmarzym śnie, popatrzył na tarczę dużego zegara stojącego w rogu gabinetu. Ku zdziwieniu bankiera okazało się, że wizyta Spoldinga trwała tylko osiem minut i od czasu jego wyjścia minęła nie więcej niż minuta. Spolding powinien jeszcze znajdować się w windzie. Bekford chwycił słuchawkę od telefonu, zadzwonił do banku położonego dwa tuziny pięter niżej i przykazał niezwłocznie aresztować okaziciela czeku na dziesięć milionów dolarów.

– Nie wypłacajcie pieniędzy! Czek podrobiony! Ha-ha-ha! O, diabeł! Nie zwracajcie uwagi na to, że się śmieję. To z nerwów... ha-ha!

Następnie, na wypadek, gdyby Spolding nie pojawi się w banku osobiście, żeby odebrać pieniądze, Bekford zadzwonił do szefa ochrony, który był ulokowany na parterze:

– Natychmiast postawić strażę u wszystkich drzwi! Ha-ha-ha-ho! – Bekford znowu się roześmiał wspominając Spoldinga. – Za... za... ha-ha-ho! „Do tysiąca czortów! Tak on zdąży uciec!...” W końcu udało mu się wypowiedzieć drugą frazę:

– Aresztujcie młodego człowieka w szarym garniturze i słomkowym kapeluszu. Spoldinga! Wiecie?! Uf, teraz można się pośmiać. Ho-ho-ho-ho! Tak. Dość. Ho-ho-ho! Dość!

Bekford zadzwonił po osobistego sekretarza. Do gabinetu wszedł wysoki, szczupły człowiek, zgięty niczym do połowy otwarty scyzoryk. Śmiał się płytkim, zanoszącym śmiechem i jego ciało drżało tak, jakby czyjaś silna ręka trzęsła nim jak zabawkowym pajacykiem. W połowie drogi do biurka sekretarz

zupełnie skisnął ze śmiechu i pozbawiony sił usiadł na dywanie. Spoglądając na sekretarza, Bekford zmarszczył brwi jeszcze bardziej i wtem sam zachichotał.

Sekretarz podniósł się. Zataczając się jak pijany, dotarł do stolika z karafką wody. Próbował nalać wody do szklanki, ale jego ręce drżały.

Zadzwonił telefon. Bekford podniósł słuchawkę. Pierwszym co usłyszał był śmiech – nieokrzesany, niepohamowany, ze skrzekiem. Bekford pobladł. Ten nieokrzesany diabeł Spolding widocznie zdążył zarazić epidemią śmiechu i parter.

Basowy śmiech został zastąpiony tenorowym – piskliwym, dziecięcym albo kobiecym. Najwyraźniej różne osoby próbowały mówić, ale śmiech im przeszkadzał. Bekford ordynarnie zaklął i rzucił słuchawkę.

Dopiero po trzech godzinach udało mu się poznać szczegóły minionych zdarzeń, których zresztą już się domyślał. I w banku, i w westybulu próbowano, ale z niepowodzeniem, zatrzymać Spoldinga. W banku podeszło do niego trzech policjantów, ale niczym porażeni kulą, po sekundzie już skręcali się na podłodze w konwulsjach śmiechu. Spolding śmiechem przymusił kasjera do wypłacenia pieniędzy, śmiechem utorował sobie drogę w westybulu między licznymi policjantami i pomyślnie wyszedł z westybulu, wynosząc w bocznej kieszeni szarego garnituru dziesięć milionów dolarów.

– Nie, to nie człowiek, to szatan! – wyszeptał Bekford.

Szef firmy, strapiony utratą dużej sumy pieniędzy i oburzony idiotyczną rolą, którą przyszło mu grać, mimo wszystko nie mógł nie czuć do Spoldinga czegoś w rodzaju szacunku. Już to, że pan Śmiech potrzebował nie tysiąc, nie milion, a dziesięć milionów wynosiło go ponad tłum miernych awanturników.

Ale nie można było tak tego zostawić. Podarować ni stąd, ni zowąd dziesięć milionów – nie taki był pan Bekford.

I Bekford zaczął dzwonić na policję, na prokuraturę, do swoich agentów.

6. Król śmiechu

W kilka godzin Spolding – „pan Śmiech”, jak już go nazywali dziennikarze – zdobył światową sławę. A raczej, światowy rozgłos uzyskało niezwykle zajście w drapaczu chmur Bekforda. Ale o samym panu Śmiechu, o jego przeszłości, o jego życiu osobistym było wiadomo bardzo mało. Korespondenci wspominali, że pod pseudonimem pan Risus (pan Śmiech) działał na najlepszych estradach music-hallu niejaki humorysta, nadzwyczajnie szybko robiący karierę. Przy jednym jego wyjściu cała widownia zalewała się homerycznym śmiechem i pana Risusa już wtedy nazywali Królem śmiechu. Jednak ten, przeleciawszy niczym jasny meteor, zniknął z estrady tak samo niespodziewanie jak i się pojawił. Zapomniano o nim i nie interesowano się jego dalszymi losami.

I oto teraz pan Risus, Król śmiechu, tak niespodziewanie o sobie przypomniał.

Armia żwawych korespondentów i stado śledczych policyjnych rzuciła się w miasto w poszukiwaniu śladów Spoldinga. Ku zdziwieniu samych śledczych, ślady te znalazły się bardzo prosto. Okazało się, że Spolding wynajmuje wspaniałą willę praktycznie w centrum miasta. Dom stoi pośród ogrodu otoczonego ładnym, żelaznym ogrodzeniem, przez które dom i wszystkie dróżki angielskiego ogrodu są dobrze widoczne. Tam i skierowały się tłumy dziennikarzy, fotografów, operatorów kamery.

Żelazna brama i furtka okazały się być zamknięte. Na dźwięk dzwonka nikt nie wychodził.

Nie minęło i pięć minut, jak zwinni ludzie ze zręcznością małp przeleźli przez żelazne ogrodzenie i rzucili się ku

domu. Ale tu zdarzyło się coś niezwykłego. Ściany domu zmieniły się w ekran kinowy, a na ekranie pojawił się Król śmiechu. W tym samym czasie przemówiły głośniki i „napastnicy”, upuszczając „wieczne” pióra, notesy i aparaty fotograficzne, już turlali się po ziemi w konwulsjach śmiechu. Niektórzy zakrywając oczy i uszy byli w stanie podejść do drzwi domu, ale drzwi były zamknięte. No i niemożliwe jest przecież przeprowadzanie wywiadu z zamkniętymi oczami i zatkanymi uszami!

Atak został odparty. Armia dziennikarzy wycofała się w hańbie.

Równie żałosny był i los policyjnego ataku. Wszyscy policjanci padali w ogrodzie porażeni śmiechem.

Stary pracownik policji, przewodzący oddziałem, wywiesił białą flagę – chustkę. Ku jego zdziwieniu ekrany zgasły, a megafony zamilkły. Nastąpiło coś w rodzaju rozejmu. Naczelnik skierował się ku domowi. Drzwi się przed nim otworzyły.

Wrócił po jakichś dziesięciu minutach zdenerwowany, zamyślony, z zagadkowym uśmiechem na twarzy. Kieszonki jego frencza mocno sterczały. Dał swojej rozbitej armii rozkaz do odwrotu. Tego samego dnia zameldował zwierzchnictwu i poinformował dziennikarzy o tym, że pan Śmiech jest niewyciężony. Jedynym możliwym rodzajem wojny z nim jest droga powietrzna. Ale nie zrzucą przecież z samolotu stukilogramowych bomb w centrum miasta.

...Miasto było zaniepokojone, a winowajca całego popłochu spokojnie siedział w głębokim, skórzanym fotelu, palił cygaro wspominając przebytą drogę i robił podsumowanie.

Spolding w końcu jest bogaty. Ma wspaniały hotel w mieście i willę w górach. Jacht, samolot, samochód... Czego mu brakuje? Żony! Potrzebna mu wspaniała żona. A może by tak pani Fajt! Dwudziestoczworoletnia piękność, wdowa. Właścicielka

milionów, fabryk i zakładów. Najbogatsza niewiasta świata. Tak piszą gazety. Dlaczego by nie zdobyć śmiechem jej serca i majątku? Oczywiście, to może zostać zakwalifikowane jako przymus, nawet zniewolenie, rozbój, szantaż. Ale czy to jest ważne?

I Spolding zaczął opracowywać swój nowy plan. Z Bekfordem łatwiej było sobie poradzić: Spolding dobrze znał Bekforda. Panią Fajt znał jedynie z gazet. Trzeba było zebrać dodatkowe informacje przez prywatnych agentów. Gra o Fajt warta była świeczki, i trzeba było zrobić wszystko, aby tej gry nie przegrać.

Po kilku dniach wszystko było gotowe. Spoldingowi udało się przedostać do pałacu Fajt. Udało się rozbroić i obrócić w proch jej straż osobistą: lokajów i pokojówki. Odszukać w nieskończonej amfiladzie pokoi panią Fajt. Kiedy Spolding wszedł, Fajt paliła egipskie cygaro, wstawione w złoty ustnik z szafirową nasadką. Miała na sobie gazową sukienkę i różowe pantofle z małpiej skóry z brylantowymi sprzączkami.

– Czy nie zgodziłaby się pani, pani Fajt, wyjść za mnie za mąż? – zapytał Spolding i przyprawił te oświadczyzny lekkim dowcipem. Fajt dźwięcznie się roześmiała, lecz zaraz szybko odpowiedziała:

– Spolding, niech pan przestanie mnie rozśmieszać! Chce pan, żebym wyszła za pana za mąż? Tak więc w czym rzecz? Jaka kobieta zrezygnuje z bycia żoną Króla śmiechu? Zgadzam się. Nie przywykłam odkładać swoich decyzji.

Spolding był tak oszołomiony tą nieoczekiwanie szybką zgodą, że zapomniał o kontynuacji swojego „ataku śmiechem”. Stał nieruchomo z półotwartymi ustami i być może pierwszy raz był śmieszny nie chcąc tego. Energiczna kobieta szybko wzięła inicjatywę w swoje ręce. Zadzwonila. Na dźwięk dzwonka weszła siwa staruszka, przypominająca damę dworu.

– Madame Angelo – powiedziała Fajt po francusku.
– Proszę niezwłocznie wezwać tutaj pastora Gobbsa i zarządzić, żeby podstawiono auto. Niech pani zatelefonuje do Jonesa. Za godzinę wylatujemy do San Francisco. Trzech pasażerów. Waga... pana waga?

– Osiemdziesiąt pięć – automatycznie odpowiedział Spolding.

– U mnie siedemdziesiąt, u pastora sto. Razem dwieście pięćdziesiąt pięć. Bagaż dwadzieścia. W sumie dwieście siedemdziesiąt pięć. Niech pani przekaze te cyfry Jonesowi. Proszę uprzedzić, żeby oleju i benzyny wystarczyło na całą drogę.

Odprawiwszy madame Angelę i zwróciwszy się do Spoldinga, pani Fajt powiedziała:

– Pastor Gobbs udzieli nam ślubu w niebie. Nieprawdaż, że to bardzo oryginalne? Cała Ameryka będzie o tym mówić. A w San Francisco przesiądziemy się na nasz jacht i...

Fajt nacisnęła drugi guzik. Weszła pokojówka.

– Madlen! Szybciej płaszcz i kapelusz! Do auta.

Kiedy Spolding nieco ocknął się z szoku, jego myśli gorączkowo zapracowały. Dlaczego Fajt tak szybko się zgodziła? Czy to nie jakiś podstęp? A dlaczego miałyby nie być szczerą? Czyż Spolding nie jest młody, nie jest przystojny? I czyż nie jest bohaterem dnia? A pani Fajt – Spolding dobrze o tym wiedział – była wyjątkowo prózną kobietą. Jej bogactwa wystarczało do spełniania wszystkich jej zachcianek, a najlepszą, ulubioną rozrywką było czytanie o sobie w gazetach. Cała Ameryka powinna wiedzieć, jak wygląda w nowej sukni, co jej podano na obiad, jakie perfumy zamówiła w Paryżu, jakie koronki w Brukseli, ile kosztowała jej nowa łazienka z różowego marmuru. Oświadczyzny Spoldinga mogły bardzo pasować do jej zarozumiałych planów. Zgodziwszy się na ślub, może wkrótce go porzucić, a potem opowiedzieć o tym reporterom i cała Ameryka

będzie śmiała się z niego, Króla śmiechu! Jak sprytnie pani Fajt go oszukała! Albo może wyjść za niego za męża, a potem przedstawić siebie jako ofiarę gwałtu. Także sensacja! I znowu Spoldingowi przypadnie śmieszna rola. Albo – co za sensacja! – Fajt wychodzi za męża za Króla śmiechu w niebiosach. Tydzień, miesiąc gazety będą przeżuwać to wydarzenie. Później ona go rzuci, rozwiedzie się z nim, chociażby na tej podstawie, że nie chce znajdować się pod wieczną groźbą bycia zaśmianą na śmierć.

Myśli Spoldinga zaczęły się plątać. Przygotowywał się do strasznej walki, zebrał całe swoje „możliwości wytwarzania śmiechu”, wszystkie siły swoich nerwów. Znajdował się w stanie intensywnej gotowości bojowej... I nagle to nieoczekiwane odprężenie. Ta nagła kapitulacja wroga obracała jego zwycięstwo w klęskę. Jaki wstrząs! Co robić, co robić! Nie, do diabła, on się nie zgadza! I trzeba po prostu uciekać!

Spolding zrobił już krok w kierunku drzwi, ale Fajt go obserwowała.

– Dokąd pan idzie? – Zwinnie schwyciła go za rękaw i posadziła na niskim fotelu koło siebie. Spolding zajął tę upokarzającą pozycję bez słowa protestu. Zdecydowanie zrobiła z nim coś niedobrego. W tym wszystkim jest coś... śmiesznego, strasznie śmiesznego.

– Ha-ha-ha-ha-ha! – Spolding nagle zaśmiał się takim zanoszącym śmiechem, jakim mało kto śmiał się z jego ofiar.

– Co z panem? – zapytała Fajt, ze zdziwieniem patrząc na Spoldinga.

– Jak to?... – niespodziewanie zaczął, przerywając sobie śmiechem prawie na każdym słowie. – Jak to mówił staruszek Bergson? Dowcip często polega na tym, żeby kontynuować myśl rozmówcy do tego punktu, gdzie staje się swoim przeciwieństwem i rozmówca sam popada w, że tak powiem, w pułapkę

zastawioną jego własnymi słowami. Tak i u mnie się z panią wydarzyło! Pani rozumie?

– Niczego nie rozumiem – odpowiedziała Fajt.

Spolding zaśmiał się jeszcze bardziej gwałtownie. Następnie nagle przestał się śmiać, jakby coś się w nim urwało. Zamilkł i stał się poważny, nawet mroczny.

– Niestety zrozumiałem za dużo na raz. I po prawdzie wpadłem w pułapkę, którą sam zastawiłem. Do końca zrozumiałem sekret śmieszności i śmieszność więcej dla mnie nie istnieje. Dla mnie nie ma więcej humoru, żartów, dowcipów. Są tylko kategorie, grupy, formuły śmieszności. Analizowałem, obrabiałem maszynowo żywy śmiech. I tym samym zabiłem go. Teraz właśnie się śmiałem. Ale i ten śmiech udało mi się analizować, przeprowadzić sekcję zwłok, zabić. I ja, wytwórca śmiechu, sam Pelsze, już nigdy w życiu nie będę się śmiać. A czym jest życie bez żartu, bez śmiechu? Bez niego – po co mi bogactwo, władza, rodzina? Okradłem samego siebie...

– Spolding, o czym pan gada? Niech pan w końcu dojdzie do siebie! Albo pan jest pijany? – z rozdrażnieniem wykrzyknęła Fajt.

Ale Spolding opuściwszy głowę siedział nieruchomo, niczym statua, w mrocznym zamyśleniu, nie odpowiadając na pytania, nie zwracając uwagi na otoczenie. Trzeba było odwieźć go do szpitala. Lekarz prowadzący stwierdził u Spoldinga załamanie nerwowe na podstawie skrajnego wyczerpania układu nerwowego. „Najwięksi artyści komediowi często kończą z czarną melancholią” – mówił lekarz. Ale jego młody asystent, dziwak i miłośnik paradoksów zapewniał, że Spoldinga przybił duch amerykańskiej mechanizacji.

